Rok XII. Nr. 2.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Kwiecień.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Ks. Ks. Misyonarzy.
1906.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1906 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — XX. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

Ks. Maryan Apolinary Kamocki

(1804—1884).

Jeżeli już 22 lata przepłynęły nad grobem konfratra, a jednak pamięć jego żyje w Zgromadzeniu, cała zaś prowincya chełmińska Sióstr Miłosierdzia wspomina o nim, jako o swoim fundatorze, to należy wskrzesić jego postać w organie, który ma nas łączyć z dawnemi laty, należy tem bardziej, że coraz mniej tych, co nas wiążą z dalszą przeszłością. Jak portrety antenatów, rozwieszone po ścianach dworów polskich, były dla potomków bodźcem do pracy, tak dawne dzieje polskich prowincyi naszego Zgromadzenia, przedstawione w monografiach wybitniejszych osobistości, mogą nie tylko poruszyć, ale i podnieść, uszlachetnić, jeszcze z poza grobu świecić przykładem. W czasach poważnych i chwilach przełomowych działa przeszłość jako *magistra vitae* — widzimy zresztą podobny objaw w Rocznikach francuskich. Obieramy na razie postać, która głęboko zapisała się w pamięci, jeszcze głębiej w sercach wszystkich, którzy się z nią spotkali, rozpoczynamy zamierzoną seryę monografii od ks. Kamockiego.

Ks. Maryan Apolinary Kamocki był synem Piotra i Maryi ze Skórkowskich. Urodził się w Raciborowcu, majątku, położonym pod Piotrkowem w gubernii kaliskiej. Matka była siostrą biskupa krakowskiego Karola Skórkowskiego, tak szczerze przywiązanego do naszego Zgromadzenia, że zabrał ze sobą na wygnanie do Opawy konfratra, ks. Zajączkowskiego, gdy musiał ustąpić ze swej stolicy pod naciskiem rządu rosyjskiego.

Bogato uposażona dusza małego Maryana rozwijała się bardzo pięknie i harmonijnie pod ręką kochającej matki, która po stracie córki starała się całe ciepło swego religijnego i patryotycznego serca przelać w jedynaka. Głęboka

religijność i miłość ojczystego kraju składały zdrową atmosferę domu, w którym wzrastała młoda, wątła z natury latorośl. Nagle zapadł 4-letni Maryan na tak gwałtowną szkarlatynę, że lekarze rokowali zaledwie kilka godzin życia; wtedy pobożna matka, zabrawszy go na wóz, pojechała do sąsiedniego Będkowa, gdzie już od wieków słynął cudowny obraz Matki Boskiej. Tam złożyła na stopniach ołtarza chorego syna, sama zaś wyciągnęła błagalne dłonie do cudownej Pocieszycielki strapionych, gdy od stopni usłyszała głos: „Jestem uzdrowiony". Wrażenie uroczyste w tej chwili ocalenia zapadło głęboko w duszę Maryana i rozrosło się tam w kult Królowej Niebios, który się będzie wzmagał z latami, symbolicznym zaś niejako jego wyrazem będzie obraz olejny Matki Boskiej, zabrany z domu ojczystego jako jedyna pamiątka na życie tułacze, obraz ten zdobić jeszcze będzie pokoik Misyonarza. Za przykładem wieszcza narodowego mógł się Kamocki odzywać do swej niebieskiej Opiekunki:

„Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę,
I zaraz mogłem pieszo do twych świątyń progu
Iść za wrócone życie podziękować Bogu.

Kamocki jednak nie tylko sam pospieszył do progu tych świątyń, lecz zwoła tam tłumy jako pierwszy apostół nabożeństwa majowego na ziemi poznańskiej.

Ocalony cudownie Maryan skończył początkowe szkoły w Piotrkowie, poczem przeniósł się na dalsze studya do Warszawy, wreszcie wstąpił do tamtejszego uniwersytetu. Zapisany na wydziale prawa i administracyi słuchał pilnie przepisanych wykładów, tylko od czasu do czasu przyjaciel, Aleksander Jełowicki, namawiał na wykład z literatury szumnego Osińskiego lub serdecznego Brodzińskiego. Dyplom z prawa, znaleziony po śmierci ks. Kamockiego, świadczy o znakomitych rezultatach uniwersyteckich studyów. Potem nastąpił czasowy pobyt w ojczystym Raciborowcu i ślub z Emilią z Tomkowiczów, córką Ksawerego, szambelana Sta-

nisława Augusta. Ale Kamocki „szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie“.

W r. 1830. na hasło, dane z Warszawy, cały kraj zerwał się do powstania; wtedy Kamocki rzuca żonę i 3-miesięczną córeczkę, przyszłą Siostrę Miłosierdzia, i wstępuje do 14. pułku piechoty, wziąwszy na drogę błogosławieństwo wuja, biskupa Skórkowskiego. Pułk ten należał do II. korpusu Ramoriny, włocha, nieobeznanego z krajem, a choć na prośby ks. Adama Czartoryskiego wysłał Krukowiecki Prądzyńskiego do jego boku, Ramorino dumą swoją zraził zdolnego generała tak, iż ten wrócił do Warszawy. To też w pamiętniku, który Kamocki spisał podczas tej kampanii, dźwięczy ustawicznie struna bólu, że najdzielniejszy w świecie żołnierz walczyć musiał pod rozkazami najniedołężniejszego w świecie wodza-cudzoziemca. Nie rozbił Ramorino korpusu Rosena pod Międzyrzeczem, oddaliwszy się zaś zanadto od Warszawy, nie zdołał jej przybyć z pomocą i stolica musiała kapitulować, potem błąkał się bez celu i planu, unikając nawet słabszego nieprzyjaciela; gdy mu się wreszcie nie powiódł zamiar połączenia z Różyckim, po ostatniej utarczce z moskalami pod Borowem wydał 15.000-czny korpus w ręce Austryaków. Rozrzewniająca jest scena ostatniej rady wojennej, skreślonej w pamiętniku przez Kamockiego, w której on, najmłodszy z oficerów, ze łzami w oczach zaklinał wszystkich, by na nowo podjąć bitwę i raczej zginąć, aniżeli z bronią w ręku ustąpić z granic rodzinnego kraju. Za głosem Kamockiego poszli oficerowie ułanów i artyleryi, przychylił się do jego zdania szef sztabu, hr. Władysław Zamojski, i dzielny Sierakowski, ale większość, zarażona niedołęstwem Ramoriny, postanowiła złożyć broń. Dnia 17-go sierpnia przekroczył II. korpus granicę Galicyi, gdzie go zaraz otoczył marszałek Bertoletti. Wojsko polskie nie chciało zrazu złożyć broni, ale głodzone przez 3 dni i trzymane podczas słoty pod gołem niebem, poddało się konieczności. Żołnierze, jak opowiada Kamocki, całowali wtedy swoją broń, łamali ją potem i zakopywali w ziemię, żeby jej nie wydano moskalom. „Ośm

miesięcy służby dla kraju, ośm miesięcy najmilszych dla serca trudów minęło jak słodki sen. Boże, daj mi jeszcze przed śmiercią doczekać dni podobnych, pozwól mi jeszcze raz usłużyć kochanej ojczyznie. Niechaj skończę życie ofiarą dla sprawy tak świętej". Na tych słowach kończy się pamiętnik.

Dłuższy czas przebywał Kamocki w Galicyi, korzystając z gościnności rodzin szlacheckich, poczem osiadł stale w Krakowie, gdzie go doszła wieść o konfiskacie majątku i śmierci żony, wreszcie w sierpniu 1836. r. otrzymał rozkaz opuszczenia miasta. Pod eskortą wojskową odwieziono go do Tryestu, skąd udał się do Francyi i zatrzymał się tymczasem w Bordeaux. Z tego czasu lubił w podeszłym wieku ks. Kamocki opowiadać o sobie anegdotę, rzucającą charakterystyczne światło na jego duszę. Możny niegdyś obywatel wszedł teraz jako zwyczajny robotnik do fabryki cukru i zamieszkał na wsi u włościańskiej rodziny. Nie chcąc tracić czasu, kazał sobie donosić posiłek do fabryki. Przynoszą po raz pierwszy śniadanie: ujrzał Kamocki jakąś zupę, panadę, tak wstrętną dla polskiego nawet oka, iż czemprędzej ją odstawił, pocieszając się myślą, że smaczniejszy będzie obiad, ale i na obiad była panada, trzeba było czekać aż do kolacyi. Widocznie rodzina, u której Kamocki zamieszkał, była bardzo biedną, bo wracając wieczorem do domu, zastał znowu panadę na stole. Wyczerpany zupełnie, zdobył się na odwagę i począł jeść, choć pot występował na czoło a łzy cisnęły się do oczu. Żeby zaś zwycięstwo było zupełne, wytarł resztki kawałkiem chleba. „Odtąd, mawiał ks. Kamocki, jadam panadę i nawet ją lubię". Nadszedł wreszcie oczekiwany z domu zasiłek pieniężny i Kamocki przenosi się do centrum życia polskiej emigracyi — do Paryża.

Szeroko po całej Francyi rozlala się fala emigrantów polskich, co szli na zachód, na wygnanie, jak wcielona skarga za doznane krzywdy, spodziewali się wszyscy, że wrócą niebawem do ojczystej ziemi zorganizowani, silniejsi niż kiedykolwiek. Smutny przedstawiała obraz Francya pod względem religijnym po rewolucyi lipcowej, gdy księża nie mogli się

pokazać w sutannie na ulicy, a kościoły świeciły pustkami. W duszach emigrantów mimo klęsk narodowych nie wygasło wprawdzie przywiązanie do wiary przodków, nie wygasła nadzieja w pomoc z góry, ale nadeszła dla nich chwila próby, gdy nad Sekwaną spotkali sympatye najżywsze u zwycięskiej partyi liberalnej. Ciągłe stosunki z tem stronnictwem musiały wpływać niszcząco na uczucia religijne emigrantów, a choć w rocznicę listopadową odprawiano pamiątkowe nabożeństwa, niewielu wtedy przynosiło do kościołów żywą wiarę w sercu; nic dziwnego, że ustawały z biegiem czasu i te tradycyjne, wojskowe Msze św., wreszcie pewna część emigracyi otwarcie wyznawała swoje niedowiarstwo.

Tymczasem powstał we Francyi nowy ruch religijny, pełen siły i nadziei na przyszłość; katolicyzm nie tylko budził się z letargu, nie tylko leczył się z ran, odebranych w przeszłości, ale występował do walki z wrogami, budził z drzemki ospałych i obojętnych. Po nieudanej próbie pogodzenia Kościoła z partyą liberalną przez ks. Lammenais zorganizował się silny obóz katolicki, na którego czele stanął świetny publicysta Ludwik Veuillot i głośny trybun parlamentarny Montalembert, niebawem odezwały się głosy ks. ks. Lacordaire'a i Ravignana z kazalnicy Notre-Dame w Paryżu, cały zastęp wykształconego kleru świeckiego i zakonnego pod kierunkiem wybitnych jak nigdy dotąd biskupów wystąpił do walki z niewiarą.

Ten ruch nie mógł zostać bez echa w duszach polskich emigrantów, co mogli błądzić i rozpaczać, ale — z małymi wyjątkami — nie chcieli rozbratu z religią. W r. 1836. powstaje w Paryżu t. zw. domek, gdzie Mickiewicz, Zalescy, Witwicki i inni gromadzą się pod kierownictwem Bohdana Jańskiego, aby spędzić codzień pewne chwile na wspólnej modlitwie i — nieraz w związku z francuskimi koryfeuszami odrodzenia religijnego — obmyślać środki skutecznego apostolstwa wśród zobojętniałej dla Boga emigracyi. Gdy Kamocki 1837. r. zjawił się w Paryżu, starał się go Bohdan Jański pozyskać dla swego kółka, ale Kamocki, czy to nie wierząc w powodzenie zamierzonego dzieła, czy też widząc

chwiejną podstawę finansową domku, nie wstąpił do niego i stądto pochodzą pewne żale Jańskiego w listach do Walerego Wielogłowskiego*).

Nie złączył się wprawdzie Kamocki żadnemi zobowiązaniami z domkiem, lecz nie zerwał wcale tych węzłów przyjaźni, które go łączyły z jego mieszkańcami: Bohdanem Jańskim i świeżo nawróconymi Hieronimem Kajsiewiczem i Piotrem Semenenką; równocześnie zbliżył się do patryarchy emigracyi, ks. Adama Czartoryskiego i propagatora jego idei, hr. Władysława Zamoyskiego, zaczął już teraz czynnie działać w założonem przez księżnę Adamową „Towarzystwie polskich Pań Miłosierdzia". Największe jednak znaczenie miało dla Kamockiego odnowienie przyjaźni z Aleksandrem Jełowickim, zawartej jeszcze na ławach uniwersytetu warszawskiego; znaczenie było tem donioślejsze, że P. Bóg zaczął w podobny sposób oddziaływać na dusze dwóch przyjaciół, u obu dokonał się pewien psychiczny proces, który się skończył powołaniem kapłańskiem. Po długiem wahaniu wstąpili obaj w jesieni 1838. r. do kolegium św. Stanisława, nazwanego tak przez Ludwika XVIII. na cześć dziada, Stanisława Leszczyńskiego; przez ten instytut przesunęli się pierwsi z emigracyi wybrańcy do stanu kapłańskiego; niedawno przedtem Kajsiewicz i Semenenko wyjechali stąd na dalsze studya teologiczne do Rzymu. Po całorocznem pobycie u św. Stanisława przenieśli się obaj przyjaciele do Seminaryum wersalskiego, gdzie zarówno wysoki nastrój ich dusz jak głęboka pobożność zyskały im serce dyrektora, czcigodnego starca, ks. Dallier. Trzy lata, spędzone razem w Wersalu, budziły jeszcze w r. 1869. rzewne wspomnienia w duszy Jełowickiego, gdy pisał w dedykacyi swych kazań do przyjaciela: „Czy pamiętasz, jak szanując wspólną miłość naszą, umieszczono nas w sąsiednich celkach, ażeby nam łatwiej było ukrzepiać się wzajemnie duchowną rozmową i modlitwą

*) Zbiory Richthofena, cfr. n. p. list Jańskiego z 3. lipca 1838. r. do Wielogłowskiego.

wspólną. — Czy pamiętasz, jak świeżość łask Bożych z każdym dniem przybywających, ożywiała nas i podnosiła ku Bogu, jakeśmy coraz większem sercem ponawiali przysięgę nie szukania niczego, jedno Jezusa, który stać się już raczył cząstką dziedzictwa naszego: *Dominus pars haereditatis meae!* — Czy pamiętasz, jak każde, a coraz wyższe święcenie, coraz wyżej unosiło w niebo, z jakiem drżeniem wesela a cześci sprawowaliśmy posługiwania nasze tuż tuż przy ołtarzu, już subdyakońskie, już dyakońskie; a cóż dopiero, gdyśmy w roztajaniu serc naszych na kapłanów wyświęceni, a w rozradowaniu chyba niebieskiem, zawołali po raz pierwszy: *Introibo ad altare Dei!* „O Bracie mój miły, a Ojcze, nie o tobie teraz powiem, lecz tylko o sobie! Przy tylu wciąż otrzymywanych łaskach, o jakże często czułem jednak w nędznem sercu mojem ostyganie ich świętego ognia. Otóż jednym ze sposobów, jakich Bóg używał do ożywiania w sercu mojem miłości ku Niemu, był ciągły bodziec ku rozbudzaniu jej w braciach moich. I tak, kiedyś ty, kochany księże Maryanie, był nam wzorem iścia za Chrystusem, jam tłómaczył dla Polaków przedziwną książkę o *Naśladowaniu Chrystusa.* Jeszcze w Seminaryum przez rok jeden i drugi oddawałem się tej pracy, długo w noc klęczący. Tyś mię wspierał pokutą i modlitwą twoją, i dla ciebie Bóg mi dopomagał“. Tak pisał Jełowicki po 30 latach o wewnętrznej pracy swego przyjaciela w Seminaryum wersalskiem. W piersi, ozdobionej kiedyś za męstwo na placu boju krzyżem *virtuti militari* podniecał Bóg coraz bardziej iskrę powołania, która stopniowo swojem ciepłem przeniknęła całą żołnierską duszę dawnego powstańca, rozpalała coraz żywsze pragnienie wyniszczenia się w pracy dla Chrystusa. Słowa św. Pawła: *immólor, sed gaudeo* obrał sobie za hasło życia, ofiara zupełna dla Boga będzie odtąd osią wszystkich jego myśli, uczuć, trosk i zachodów. Na jednej z kart, zapisanych w Seminaryum wersalskiem przez ks. Kamockiego, znaleziono zaznaczone 4 myśli, które miały mu przyświecać podczas trudów kapłańskich: uważać się za sługę nieużytecznego przy najwydatniejszej pracy dla Boga, ufać bezgra-

nicznie w Opatrzność Bożą, kierować się czystą intencyą, korzystać nawet z własnych upadków.

Święcenia kapłańskie ks. Kamockiego przyspieszyła o cały miesiąc niespodziewana okoliczność, która była jakby wróżbą jego przyszłej, owocnej działalności w konfesyonale. Do Paryża przyjechała hr. Małachowska, żeby szukać pomocy lekarskiej przeciw strasznej chorobie, toczącej jej organizm; nie znalazłszy jednak i tutaj żadnego ratunku, popadała w rozpacz, tem straszniejszą, że nie znała kojącego wpływu pociech religijnych, karmiąc się od młodości zasadami wolteryańskiemi. Długo odrzucała z oburzeniem wszelką myśl pojednania się z Bogiem, chociaż przeczuwała zbliżający się kres swego życia. Nagle oświadczyła, że się wyspowiada, lecz tylko przed Kamockim, pod którego wpływem już od pewnego czasu topniały lody, zagradzające Bogu wstęp do jej nieszczęśliwej duszy. Gdy o tem doniesiono biskupowi wersalskiemu, Blancard de Bailleul, wezwał natychmiast Kamockiego i wyrzekł z naciskiem: „Tu chodzi o zbawienie duszy, dlatego jutro otrzymasz święcenia kapłańskie i wyspowiadasz biedną umierającą“. Święcenia, otrzymane w tak niezwykłych okolicznościach, wstrząsnęły do głębi wrażliwą duszą ks. Kamockiego; ilekroć później wspominał o tym fakcie, nie mógł się oprzeć wzruszeniu, a do końca życia 14. listopada, t. j. w rocznicę tego zdarzenia, odprawiał dziękczynną Mszę świętą.

Opuszczając Seminaryum, wystawił tam wspólnie z oczekującym jeszcze na święcenia Jełowickim na pamiątkę swego pobytu statuę Matki Boskiej na kamiennej kolumnie, gdzie pod herbem Polski widniał napis: „Za gościnność wdzięczni Polacy“. Poświęcenie tej statuy odbyło się z wielką uroczystością, a dyrektor Seminaryum, ks. Dallier, w osobnej przemowie wyliczył zasługi Polski dla Kościoła i zakończył słowami: „Polacy w chwilowem osłabieniu szukają pokrzepienia na łonie przyjaznej im Francyi, Francuzi również mają uważać Polskę za drugą swoją ojczyznę, w modlitwach zaś

nie umieją odróżnić tych dwóch wielkich, chrześcijańskich rodzin".

Szczególniejszym dowodem zaufania ze strony biskupa wersalskiego było powołanie ks. Kamockiego na pierwszego wikaryusza w parafii St. Cloud; skromne mieszkanie znanego wśród emigracyi, nowo wyświęconego wikarego stało się wnet punktem attrakcyjnym dla tych wychodźców polskich, co wśród cierpień narodowych szukali pociechy u Boga, przebaczenia zaś za grzechy przeszłości w konfesyonale, a nie przesłaniali swych błędów marzycielskiemi teoryami o posłannictwie Polski, specyalnie emigracyi. Życie w St. Cloud nabrało dla ks. Kamockiego szczególnego uroku, gdy nominacyę na drugiego wikaryusza otrzymał ks. Jełowicki — znalazło się znowu razem *par nobile fratrum.*

Ks. Konstanty Michalski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

List ks. Superyora Stanisława Koniecznego do ks. Redaktora.

(Sprawozdanie z Misyi.)

Derby-Conn., 8. lutego 1906. roku.

Łaska Pana Naszego niech zawsze będzie z nami!

(Erie, 12. do 25. marca 1905. roku). Spełniam prośbę i zasyłam opis naszych misyi do *Roczników*. Pierwszą misyę po mojem przybyciu do Ameryki odprawiliśmy w Erie. Zawezwani przez ks. Ignasiaka, tamtejszego proboszcza, pospieszyliśmy na tę zbożną pracę w trzech t. j. ks. Konieczny, ks. Trawniczek i ks. Waszke. Droga z Filadelfii do Erie jest daleka i męcząca. Wyjechaliśmy z domu o godz. $7\frac{1}{2}$ wieczorem, a stanęliśmy na miejscu nazajutrz o godz. 10. Podróż odbyła się spokojnie i szczęśliwie. W drodze ubawił nas dosyć pewien stary murzyn, który jechał w tym samym wagonie, co my. Przyprowadziła go jakaś murzynka, usadowiła na ławce jak dziecko i przypięła do ubrania kartkę z adresem. Z początku sądziliśmy, że należy on do czubków, lecz w drodze zmieniło się nasze przekonanie. Wysychało, widać, biedakowi zanadto gardło, gdyż ze sporej blaszanki, napełnionej obficie wódeczką, zwilżał raz poraz zeschłe wargi. Pociąg pędził jak szalony wśród nocnych ciemności, a nam nie pozostało nic innego, jak za przykładem naszych towarzyszy przytulić głowę do sofy i oddać się sennem marzeniom. Lecz chęci spania nie tak łatwo było zaspokoić. Jako młodzi i niedoświadczeni podróżnicy zrobiliśmy na początku grubą pomyłkę, za którą musieliśmy ciężko pokutować przez całą podróż. Zamiast wziąć *sleeping-car,* poszliśmy do zwyczajnego wagonu. Nie było nas wprawdzie wielu, tak, że każdy miał

do rozporządzenia dwie ławki, na których mógł się swobodnie wyciągnąć, lecz cóż z tego, kiedy po godzinie zrywał się z bólu, gdyż zdawało mu się, że przerwał się w połowie; głowa bowiem i plecy spoczywały na jednej ławce, a nogi na drugiej. Po takiej nocy wstaliśmy zdenerwowani, zmęczeni i niezdatni do żadnej pracy. Świtanie zastało nas daleko za Charrisburg'em. Krajobraz, wynurzający się z cieniów nocnych, był malowniczy. Pociąg pędził środkiem doliny nad brzegiem rzeki, a z obydwóch stron wznosiły się wzgórza, pokryte lasami. Ta przyroda pusta i dzika sprawiała nam wielką przyjemność swym urokiem, gdyż od wielu miesięcy żyliśmy w dzielnicy fabrycznej wśród samych miast, domów i kominów. Okolica ta przypominała żywo ks. Waszkiemu Kaczykę, dawną rezydencyę. Potem przejeżdżaliśmy przez kopalnie nafty, wśród tycięcy studzien, przeznaczonych widocznie do wydobywania ropy z ziemi. W końcu zmęczeni, głodni i brudni przyjechaliśmy do Erie, gdzie czekał na nas ks. Franciszek Robaczewski, miejscowy asystent.

Po obiedzie zaproponował nam ks. proboszcz przejażdżkę po mieście, na co ochotnie zgodziliśmy się, bo pracę zacząć wypadało dopiero w niedzielę na sumie. Miasto Erie, rezydencya biskupa, rozłożyło się nad brzegiem wielkiego jeziora tej samej nazwy. Już z daleka widać z okien wagonu olbrzymie białe smugi. Cudzoziemcowi wydaje się, że to gęsta mgła, unosząca się nad łąkami i polami, lecz niebawem wytężywszy dobrze oczy, przekonuje się, że to wody jeziora Erie. Ruch na jeziorze nie bardzo ożywiony, kursują same towarowe statki, a pasażerskie wyjątkowo tylko. W wodach żyje mnóstwo wielkich ryb słodkowodnych i smacznych, jakto sami mieliśmy okazyę przekonać się o tem w piątki.

Początki tutejszej kolonii polskiej według opowiadania proboszcza były takie. Pierwsze rodziny polskie przybyły do Erie z zamiarem osiedlenia się w roku 1869.; w dziesięć lat potem wedle urządzonego spisu było już w Erie 80 rodzin, rozrzuconych po całem mieście, a pracujących po fabrykach, kolejach i dokach. W niedziele i święta uczęszczali do nie-

mieckiego kościoła i tam też posyłali swe dzieci do szkoły, a skutek był taki, że niektórzy zupełnie się zniemczyli.

Ci zniemczeni Polacy nie przyłączyli się wcale do polskiego kościoła, albo też znacznie później, a dzieci ich przepadły dla Polski prawie zupełnie. Pierwszym polskim kapłanem był ks. Ignasiak. Został wprowadzony do nowej parafii przez ks. biskupa dnia 22. sierpnia 1886. roku.

Jest to prawdziwy sługa Boży, pasterz, powiedziałbym, wyjątkowy, bo takich jak on mało znajdzie się nie tylko w liberalnej Ameryce, lecz i w starym kraju. Żyje jak zakonnik, ale w tym szczupłym i wątłym organizmie pali się niespożyta energia, która jest bodźcem do wielkich czynów. Prawda, że 19 lat pracuje w tej parafii, ale też wszędzie widać, ile zrobił, jaką świątynię Bogu wystawił, jak ludzi wyuczył i duchowo wyrobił.

Pierwszą myślą jego było zająć się wychowaniem i przyszłością młodego pokolenia, któremu zagrażała germanizacya. Cóż robi młody proboszcz, nie mając tyle funduszów, aby odrazu szkołę zacząć? Obraca dwa pokoje na plebanii na szkołę i rozpoczyna uczyć sam dzieci, których się schodziło do 70. Dwa lata później już pobudował szkołę, a w r. 1892. sprowadził Siostry Felicyanki i oddał im ją w zarząd.

Szkoła obecna jest to okazały budynek dwupiętrowy z czerwonej cegły na kamiennem podmurowaniu. Sale do nauki duże i jasne, tablice na ścianach przez długość sali, a na dole wygodne kąpiele. Nasze gimnazya w kraju nie są tak sanitarnie urządzone, jak ta szkoła parafialna.

Budynek ten kosztował 25.000 dolarów. Liczba dzieci wynosi 700, a w ochronce gromadzi się 120. Kształcą się i wychowują pod opieką Sióstr Felicyanek (10) i nauczyciela, organisty. Te dziatki nie mogą być chyba nigdzie szczęśliwsze niż pod bacznem okiem troskliwej Siostry, lepszej nieraz od rodzonej matki. Uczą się tu grzeczności i robótek ręcznych, pacierza i wierszyków, uczą się mówić i bawić przyzwoicie.

Kościół jest murowany z czerwonej cegły. Jest to świątynia wspaniała w stylu romańskim o dwóch ciężkich wie-

żach. Z jednej strony presbiteryum kaplica Matki Boskiej, a z drugiej zakrystya, połączona wprost z plebanią. Wewnątrz kościół jest ładnie malowany, oprócz obrazów Świętych widzimy tam także popiersia co sławniejszych królów polskich i znakomitych mężów. Słowem, wszystko w tej świątyni pokazuje, że budował ją kapłan-patryota, który chciał pokazać swemu ludowi, że patryotyzm powinien iść w parze z religią, że Kościół nie gasi szlachetnych uczuć miłości ojczyzny, lecz przeciwnie jest twierdzą wiary, mowy ojczystej i prawdziwego patryotyzmu.

Ponieważ kościół jest długi 147 stóp, a ambona stoi przy samem presbiteryum, przeto przezorny proboszcz kazał rozprowadzić od ambony cały pęk drobnych drutów po kościele, po których słowo Boże rozchodzi się swobodnie do ostatnich zakątków kościoła, a kaznodzieja nie potrzebuje wysilać swych piersi lub nadwerężać głosu.

I ta parafia, lubo wzorowa dzisiaj, nie była wolna w swych początkach od zaburzeń, które nią szarpały i niepotrzebnie zakrwawiały serce kapłana. Ciekawą bowiem naturę ma nasz lud polski. Dla Boga pełen poświęcenia i ofiary, dla kościoła hojny, do wiary przywiązany, ale zato uparty w swych przesądach, powierzchowny w swej wierze, łatwo dający się powodować różnym demagogom, a przytem do najwyższego stopnia niezgodny, nie umiejący ocenić, czem jest solidarność dla społeczeństwa. Przy takiem usposobieniu ogółu, cóż dziwnego, że nieraz drobnostka wystarczy do wywołania groźnego buntu w całej parafii.

Było to w 1892. roku. Pewien parafianin przyszedł na plebanię z interesem, a nie zastawszy proboszcza, który wyjechał na misyę do jednej z sąsiednich parafii, nawymyślał na niego. Proboszcz zażądał, aby Towarzystwo, do którego ów człowiek należał, ukarało go. Oparł się temu prezydent z nielicznymi zwolennikami. Uparci zostali wreszcie z Towarzystwa wyłączeni w liczbie 42. Wtedy założyli sobie Towarzystwo narodowe, do którego wstąpiły żywioły z niczego niezadowolone, niedowiarki i nowi osadnicy, przybyli do tej

kolonii po owych zaburzeniach. Przez parę lat trwał ten ferment w parafii, wreszcie przycichli, widząc, jak trzech z ich członków zabrał Bóg nagle z tego świata bez księdza, chociaż każdy wzywał go i bardzo pragnął mieć go przy sobie w ostatniej chwili. Ostatecznie niezadowoleni z panujących stosunków, wycofali się ze starej parafii i utworzyli drugą. Wybudowali drewniany, schludny kościółek, wystawili plebanię i uprosili sobie u biskupa drugiego księdza. Dał im go biskup i dzisiaj obie parafie rozwijają się zgodnie na chwałę Bożą.

Organizacya tej parafii jest bardzo silna. Spójnią, łączącą rozrzuconych kolonistów, są towarzystwa, których jest 12. Celem ich braterstwo, wzajemna pomoc, umoralnienie, ćwiczenie się w cnotach chrześcijańskich i popieranie interesów parafialnych. Towarzystwo św. Stanisława i Matki Boskiej Częstochowskiej mają prócz tego kasę pośmiertną, do której każdy w razie śmierci brata płaci $ 2, jeden zaś $ w razie śmierci żony brata. Wsparcie w chorobie wynosi $ 5 tygodniowo, wypłacane z miesięcznych opłat. Bractwa kobiet i młodzieży mają za cel częste bo miesięczne przystępowanie do sakramentów świętych. I o dzieciach nie zapomniał troskliwy pasterz. Jest dla nich dzieło *Dziecięctwa Jezus,* aby te malutkie istoty przez swą modlitwę i drobne jałmużny zawczasu rozszerzały panowanie dzieciątka Jezus. W każdy czwartek tygodnia odbywa się adoracya Najśw. Sakramentu, czyli święta godzina na pamiątkę modlitwy Pana Jezusa w Ogrojcu. Ta adoracya odbywa się od 7·30 do 8·30, a wiele ludzi uczęszcza na to nabożeństwo z wielkiem zamiłowaniem, ażeby przynajmniej jedną godzinę w tygodniu być przy Panu Jezusie.

Posiada również ta parafia obszerną halę dla wygody i użytku parafian. Jest to dom Tadeusza Kościuszki, tak nazwany dla uczczenia tego sławnego bohatera, który imię Polski rozsławił na obu półkulach. Jest tam kręgielnia, sala gimnastyczna, sala posiedzeń, gdzie towarzystwa odbywają swoje zebrania, obszerna scena do odgrywania amatorskich przedstawień, którem zajmuje się Towarzystwo Moniuszki. Daje

ono od czasu do czasu rozmaite przedstawienia, a mając nadto własną bibliotekę, przyczynia się niemało do podniesienia ducha narodowego w Erie. Posiada w bibliotece 800 tomów, odegrało dotychczas 50 przedstawień, a dochodu miało przeszło 4000 $. Tym sposobem stara się ów gorliwy proboszcz o odciąganie ludzi od szynków i o wykorzenienie zgubnego narowu pijaństwa, który jest gangreną naszego ludu.

Motu proprio, którem Ojciec św. zaleca, aby zaprowadzić po kościołach śpiew gregoryański, a usunąć z chóru wszystko, co chociaż piękne, ale rozprasza ducha i zamiast podnosić serce do Boga, zwraca je ku ziemi — zostało uwzględnione w tej parafii w całej rozciągłości. Sam proboszcz nie bardzo muzykalny, ale znalazł w osobie organisty znawcę i dobrego wykonawcę śpiewu kościelnego. Jan Nowak napracował się, stracił głos, o czem świadczy ciągła chrypka, ale też dzisiaj podziwiają wszyscy owoce jego wytrwałej pracy. W niedziele i święta śpiewa chór męski z 50 osób Msze gregoryańskie, zastosowane do roku kościelnego, a śpiewają nietylko wyjątki ze Mszy, ale całą Mszę *in extenso* t. j. graduale, sekwencyę i wszystkie inne części. Dzieci szkolne umieją już na pamięć łacińskie Msze św., gdyż dzień za dniem śpiewają je na Mszy św. uroczystej lub żałobnej. Prawdziwą rozkosz duchową odnosi się z tych nabożeństw, widząc, jak chłopcy w presbiteryum zgrabnie i pobożnie wykonują wszystkie ceremonie, przepisane przez Kościół i słuchając melodyjnych, a czysto kościelnych pieśni, brzmiących z chóru. Po naszych katedrach, zdaje mi się, niema tak ścisłego wykonania woli Ojca św. pod tym względem jak w tej parafii, która składa się przecież z samych robotników i liczy w całości 700 rodzin. Szczera chęć, praca i wytrwałość muszą pokonać trudności i osiągnąć zamierzony skutek.

Polonia tutejsza składa się w znacznej większości z wychodźców z W. Ks. Poznańskiego i z Prus Zachodnich. Zdaje mi się, że nigdzie nie można łatwiej jak w Ameryce poznać, jak szkodliwą rzeczą było dla nas, że zostaliśmy rozebrani między trzy mocarstwa i jaki odrębny charakter wyrobili sobie

Polacy z biegiem czasu, mieszkając wpośród różnych stosunków i mając do walki z obcymi żywiołami.

Polacy z pod zaboru pruskiego przyjęli wiele zalet i wad od swoich srogich zwycięsców. Widać u nich pewną stateczność, męską powagę w postępowaniu, energię i przedsiębiorczość, która nie cofa się przed trudnościami, przeszkody stojące na drodze łamie, wielką solidarność, a w codziennem życiu gospodarność i oszczędność.

Szczęśliwy kapłan, który zdobył zaufanie tego ludu, może być pewien ich przywiązania i liczyć na ich pomoc w szczęściu i nieszczęściu; lecz biada mu, jeżeli jednego z nich skrzywdzi, bo wtedy ogół wystąpi z nim do walki. Z ujemnych stron germańskiego szczepu przyswoili sobie śmieszną butę. Jak niemcy roszczą sobie prawo do hegemonii wśród cywilizowanego świata, tak wychodźcy poznańscy, olśnieni potęgą swoich najezdzców, chcieliby słusznie czy niesłusznie górować nad swoją bracią, a wprost już niewytłómaczonem zjawiskiem jest ten fakt, że w Ameryce lgną do niemców jakby do swoich najlepszych przyjaciół. Zapominają o tym strasznym ucisku, o tej zaciętej a niesprawiedliwej walce, jaką ich bracia toczą w kraju, nie zważają na to, że niemcy nawet w Ameryce, o ile tutejsze stosunki pozwalają na to, występują z tą samą brutalną zaciekłością przeciwko wszystkiemu, co polskie, ale zapisują się do niemieckich towarzystw, należą do niemieckich parafii, lub posyłają dzieci do niemieckich szkół, chociaż polskie parafie i polskie szkoły są w miejscu. Są to zapewne wyjątki, ale zdarzają się dosyć często, zwłaszcza w tych parafiach, gdzie poznańczycy stanowią znaczną mniejszość. I Ameryka wycisnęła już swoje piętno na naszym ludzie. Przyjechawszy do Ameryki, pozbywają się Polacy skwapliwie swych barwnych i charakterystycznych strojów, jeżeli już poprzednio nie uczynili tego w podróży. I nic dziwnego, bo w Ameryce patrzy na nich każdy jak na raroga, a nawet polscy koloniści, dłużej zamieszkali w Ameryce, ze wstrętem uciekają od nich

lub udają, że nie rozumieją po polsku, bo *grynol* u wszystkich jest w wielkiem lekceważeniu.

A jednak jest naród, który mimo szykan ludzkich, mimo powszechnej wzgardy, nie zmienił swego stroju, nie zarzucił zwyczajów swych ojców i lubo na obcej ziemi, żyje po swojemu — tym narodem są chińczycy. Nie wiem, czy z patryotyzmu czy z barbarzyńskiego uporu i zacofania, dosyć, że chińczyk w Ameryce chodzi, żyje i postępuje tak — jak na swojej ziemi. Można spotkać cywilizowanych chińczyków — ale rzadko.

W chińskich dzielnicach Nowego Jorku lub Filadelfii wygląda wszystko tak jak w Chinach. Chodzą po ulicach lub siedzą przed domami w swych narodowych strojach, w drewnianych trepkach na nogach, a długie warkocze spływają po ich plecach, wszędzie chińskie napisy, a w oknach czarodziejskie wyroby z kości, cenna porcelana lub nawet różnokształtne figury ich cudownych bożków. W powietrzu unoszą się jakieś odrębne wschodnie odory, boć oni szczycą się takiem zamiłowaniem porządku i czystości, jak nasi kochani starozakonni. I dzisiaj wywalczyli sobie prawo obywatelstwa dla swych zwyczajów — nikt ich nie napastuje i nie gapi się na nich, ani dziwi, czemu nie chodzą jak inni cywilizowani ludzie.

Poznańczycy wyróżniają się od wychodźców z innych dzielnic tem także, że znalazłszy w jakiemś mieście intratną pracę, osiedlają się tam na stałe. Z początku dzierżawią mieszkanie, z czasem dorobiwszy się pieniędzy, zakupują domek na własność i zamierzają resztę życia spędzić już na wolnej ziemi Waszyngtona. Tymczasem galicyanie lub królewiacy wędrują z miejsca na miejsce, zapracowane pieniądze wydają na podróże lub na przejażdżki do kraju, a kieszenie świecą zawsze pustką. W Erie prawie wszyscy Polacy ugrupowali się około swego kościoła, zakupiwszy domki przy dwóch lub trzech ulicach i tym sposobem powstała cała polska dzielnica.

Ks. proboszcz poważnie pojmował misyę i przysposobił do niej swych parafian prawdziwie po Bożemu. W szeregu

katechizacyi wyłuszczył ludowi jasno, prosto i dobitnie zasadnicze kwestye sakramentu Pokuty i Ołtarza, aby w czasie misyi ułatwić nam pracę, a mając w pamięci słowa Pawła św.: *ego plantavi, sed Deus iucrementum dat*, urządził przed misyą uroczystą nowennę, żeby Bóg uświecił ciemne umysły i zmiękczył twarde serca ogniem swej łaski, by żniwo misyjne wydało trwałe a widoczne w przyszłości owoce. Misyę w Erie, mającą trwać dwa tygodnie, podzieliliśmy na dwa stany. Pierwszy tydzień przeznaczyliśmy dla kobiet i dziewcząt, a drugi tydzień dla mężczyzn. Przed sumą, po odśpiewaniu *Veni Creator* przemówił ks. proboszcz do parafii, przedstawiając nas, a przytem zachęcając do pilnego korzystania ze świętego czasu misyi. Potem wyszedł na ambonę ks. Trawniczek i skreślił w wymownych słowach cel i zadanie misyi św. Ogłosił, że z dzisiejszym dniem wybuchła w całej kolonii zacięta walka, która staczana będzie w parafii, w rodzinach i w sercach jednostek, lecz wynik tej walki nie może być wątpliwy. Zależy on od wodza, jakto ujawniła wojna rosyjsko-japońska, bądźmy więc pewni zwycięstwa, bo prowadzi nas do boju Jezus Chrystus.

Porządek nauk i nabożeństw staraliśmy się zachować właściwy naszemu Zgromadzeniu i uświęcony powagą Ojców naszych. Rano o godz. $5^1/_2$ modlitwy i rozmyślanie, o godz. 10. Msza uroczysta z kazaniem, o godz. 3. nauka i święcenie dewocyonaliów, a wieczorem o godz. $7^1/_2$ nieszpory, kazanie i modlitwy wieczorne. Tak się przedstawia schemat naszych misyi, ale wykonanie go w praktyce napotykało nieraz na wielkie trudności. Misye krajowe a amerykańskie podobne są do siebie chyba z samej nazwy. Praca apostolska w parafiach, gdzie lud rolniczy stanowi ogół, jest daleko łatwiejsza i ponętniejsza dla Misyonarza. Ma się lud w swych rękach przez cały dzień z niewielkiemi przerwami, można wpływać na niego i usposabiać go do gruntownego nawrócenia czyto przez kazania, czyto przez czytanie duchownych książek, czy wreszcie przez pobożne, a zastosowane do uroczystej chwili śpiewy. Z nastaniem zaś zmroku rozpuszcza się wiernych

do domów, a Misyonarze mają czas odetchnąć i pokrzepić znękane siły do jutrzejszej pracy. Przytem jest pomoc w konfesyonale, sam proboszcz lub dziekan pozbiera kapłanów z całej okolicy, by rzesze, chciwe gruntownego oczyszczenia, mogły w czasie misyi pojednać się z Bogiem i ze swojem sumieniem. Nie wspominam już o zewnętrznej formie przyjęcia ich po parafiach, która znacznie przyczynia się do tego, że pochód ich — to pochód tryumfalny.

A jak jest u nas na amerykańskiej ziemi?

Nasi wychodźcy — to jedna wielka rzesza robotników fabrycznych. Od rana do wieczora muszą ciężko pracować na kawałek chleba po fabrykach. Do kościoła dostać ich można albo wczas rano o świcie albo też wieczorem po skończonej pracy. Uwolnić się od roboty na czas misyi nie mogą, bo zarząd protestancki nie uwzględni tego dla wielkich strat materyalnych, a robotnicy nawet kusić się o to nie mogą, bo alboby dostali odprawę albo zupełnie straciliby chleb dla siebie i swoich rodzin. Są fabryki, gdzie nawet w niedzielę niechętnie uwalniają od pracy, a co dopiero mówić o zwolnieniu na cały tydzień. Ludzie zaglądają więc dorywczo tylko do kościoła rano i wieczorem, a przez cały dzień muszą słuchać wśród łoskotu maszyn lubieżnych rozmów lub tłustych żartów z cnoty i religii swych heretyckich współpracowników. To też praca misyjna w Ameryce jest bardzo uciążliwa i szybko rujnuje zdrowie. Pracować trzeba we dnie, a więcej jeszcze po nocach: we dnie nabożeństwa, kazania i spowiedź kobiet, a względnie mężczyzn, którzy pracują na noc, a wieczorami spowiadanie tych, którzy we dnie zajęci po fabrykach. Niema innej rady, lecz trzeba siedzieć w konfesyonale dzień za dniem przynajmniej do godz. 11., bo w innym czasie nie dostanie się ludzi.

Kobiety i dziewczęta chodziły pilnie na nabożeństwa, słuchały przykładnie nauk i brały je do serca. Jeden szczegół zadziwił nas, tj. że potrafiły tak się podzielić, iż nigdy nie było najmniejszego ścisku przy konfesyonałach. Zostawało ich wieczorami tyle, że zawsze mogliśmy wszystkie wy-

spowiadać, nie odsyłając żadnej do domu. Przy pomocy ks. Stan. Niedbalskiego, proboszcza drugiej parafii, i miejscowego ks. asystenta wyspowiadaliśmy 1.000 osób. W sobotę rano zakończyliśmy pierwszą seryę wspólną Komunią świętą i papieską benedykcyą.

W drugą niedzielę Postu przypadła uroczystość św. Józefa.

Ks. proboszcz, pragnąc dodać blasku misyi św., zaprosił z uroczystą Mszą św. ks. Biskupa Fitzmaurice'a. Przyjechał on fiakrem, ubrany w fiolety, jak to bywa w starym kraju. Jest to starzec siwowłosy, nerwowy, ręce trzęsą mu się tak, że z trudnością robił krzyże nad kielichem podczas Mszy św. Pobożny i bardzo cierpliwy, najmniejszym ruchem nie okazał swego niezadowolenia, gdy coś w ceremoniach nie było na czas lub w właściwy sposób wykonane. Celebrował Sumę w naszej asystencyi, a ks. Trawniczek wygłosił krótki panegiryk na cześć św. Józefa. W czasie kazania siedział ów książę Kościoła na tronie, a lubo ojciec tego tłumu wiernych, wypełniających po brzegi świątynię, ale nie rozumiejący języka swych dziatek, starał się przynajmniej z twarzy słuchaczy odgadnąć, jak słuchają słowa Bożego. Chciał jednak okazać jakąś przychylność dla tego ludu polskiego, przeto polecił ogłosić, że mogą jeść mięso w sobotę przyszłą, w którą przypadała uroczystość Zwiastowania N. P. Maryi. Przy stole zaznaczył, że lud polski z wielką uwagą i z dziwnem przejęciem i wzruszeniem słucha słowa Bożego, czego nie spostrzegł u zimnych Irlandczyków. Prosił, aby jeden z nas wygłosił kazanie na nieszporach w jego katedrze, gdyż na niego przyszła kolej, ale musieliśmy odmówić prośbie, nie posiadając języka angielskiego w tym stopniu.

Z całego zachowania się kobiet można było poznać, że parafia doskonale jest prowadzona, a nauki nasze mają na celu nie tyle nawracać do Boga, jak umacniać w dobrem i zachęcać do wytrwania na drodze cnoty. Zanim rozpoczęliśmy seryę mężczyzn, mimowoli oblatywał nas pewien strach, nie wiedzieliśmy bowiem, jak się oni wezmą do pracy nad

sobą, bo to zawsze natury twardsze i umysły więcej harde, nie tak łatwo garną się do Boga jak *devotus femineus sexus*. Tymczasem stawili się jak jeden mąż. Wieczorem na wstępnem kazaniu zapełnili cały kościół i wszędzie ruszały się wąsy lub błyszczały wygolone jakby kapłańskie twarze, a proboszcz spoglądał z radością z chóru na te zastępy parafian, którzy posłuchali głosu łaski i stawili się licznie, nie robiąc mu wstydu. Jak później mówił, nie przypuszczał, że ma tylu mężczyzn w Erie. Zaraz po nauce zgłosiło się ich kilkunastu do proboszcza prosząc, aby ranne modlitwy i rozmyślania były dla nich o $4^1/_2$, bo później nie zdążyliby do pracy. Prośbie tej, chociaż pomęczeni, ochotnie uczyniliśmy zadość. Jaki był początek, taką była cała misya święta. Chodzili na nauki bardzo gorliwie, o ile im zajęcia pozwalały. Słuchali uważnie, a widać było po nich, że nie myślą o zbawieniu powierzchownie, lecz poważnie biorą się do pobożności.

Cieszyła nas ich liczba na kazaniach, ale przerażała myśl o spowiedzi. Dobry proboszcz rozesłał telegramy do sąsiadów, ale nie wróżył nic dobrego, gdyż w czasie wielkanocnym każdy zajęty spowiedzią w swoim kościele. Ciężka była robota w czterech lub pięciu spowiadać te pobożne tłumy. Siedzieliśmy regularnie do 11. w nocy, a jeszcze trzeba było odsyłać wielu do domu. Wśród tej znojnej pracy słuchaliśmy z przyjemnością w wolnych chwilach opowiadań ks. Ignasiaka o dawnych wypadkach. Zrazu miał on wielu niechętnych w swojej parafii. Starali się oni zniechęcić go do pracy lub zmusić do opuszczenia stanowiska różnymi sposobami: nadawali mu różne przezwiska, nazywając go niemcem lub Bismarkiem, pisywali na niego różne paszkwile i anonimy, lecz on zwyciężył ich swą spokojną energią. Zapowiadał im nieraz z ambony, że z tej parafii nie myśli się ruszyć, chyba śmierć go stąd zabierze, radził więc, aby niezadowoleni przenieśli się do innego miasta. Gdy listów anonimowych przybywało z każdym dniem, wyrzucał je oknem na ulicę, aby każdy z przechodniów mógł je snadnie czytać, co widząc nieprzyjaciele jego, zaprzestali ich pisywać pod jego adresem.

Zna on dobrze naturę ludu naszego, wie, że chcąc naprowadzić go na dobrą drogę i utrzymać na niej, trzeba ująć go silną ręką, wydawać stanowcze rozkazy i od nich nie ustępować pod żadnym pretekstem. Postępował stale według tej metody przez 19 lat swego pasterzowania w Erie, a dzisiaj z radością patrzy na błogie skutki, jakie wydała jego silna wola w połączeniu z dobrem sercem i ofiarnością ludu. To znowu opowiadał nam, jak pewnego razu pomagał na misyi w sąsiedztwie, gdy wtem dostał telegram, że kościół dopiero co wybudowany z takim trudem i nakładem wielkich kosztów stoi w płomieniach. Serce zabiło mu gwałtownie w piersiach, wsiadł na pierwszy pociąg i wśród strasznych rozmyślań jechał do Erie. Będąc na miejscu, zobaczył czarne kłęby dymu i straż pożarną, uwijającą się około zlokalizowania ognia. Nieszczęście nie było jeszcze tak straszne, bo dzięki energicznym zabiegom straży, spaliła się tylko zakrystya wraz z wszystkiemi sprzętami i aparatami kościelnymi, którą to szkodę pokryły w zupełności towarzystwa asekuracyjne. Dwa dziwne wypadki zdarzyły się w czasie tego pożaru. Spalił się ornat, a tylko środkowa część, na której jest wyhaftowany obraz św. Stanisława, Biskupa, została przez ogień nienaruszona. W bocznym zaś ołtarzu jest piękna figura Niepokal. Poczęcia. Wokoło niej uległo wszystko zniszczeniu zupełnemu lub przynajmniej zczerniało od dymu, a Matka Boska została nietkniętą przez rozszalały żywioł. Pożar wszczął się z błahej przyczyny. W niedzielę na Nieszporach wziął chłopiec dwa kawałki sztucznie zaprawionego węgla do kadzielnicy, a ponieważ zdawało mu się, że jeden wystarczy, zeskrobał ogień z drugiego kawałka i włożył go napowrót do pudełka, gdzie był cały stos nagromadzonego węgla. Tymczasem pozostała iskierka zaczęła się tlić, w nocy rozpaliły się od niej wszystkie węgle, a nazajutrz rano stała już zakrystya w płomieniach.

Po obliczeniu kartek okazało się, że wyspowiadaliśmy wszystkich 1.050.

Ponieważ OO. Jezuici ustawili i poświęcili krzyż w czasie misyi, odprawionej przed trzema laty, nam zatem pozostało tylko zachęcić ich raz jeszcze do wytrwałości i podać sposoby, by postanowienia, powzięte w czasie tych ćwiczeń, głęboko wyryli w swem sercu i według nich żyli. W tym celu zostawiliśmy ks. Waszkego w Erie, a ks. Trawniczek ze mną wyjechał w piątek wieczorem do Hartford, by tam w niedzielę rozpocząć drugą misyę. Ks. Waszke, jak później opowiadał, musiał spowiadać jeszcze przez całą sobotę niedobitków, w niedzielę zaś na Sumie zakończył uroczyście misyę św., a w poniedziałek odwiedził i wyspowiadał wszystkich chorych, aby i oni mieli jakąś pamiatkę z tych uroczystości. Misya ta pozostawiła po sobie nader miłe wspomnienie. Ks. proboszcz odprowadził nas na dworzec i jeszcze w wagonie rozmawiał z nami aż do odjazdu pociągu, a przy pożegnaniu widać było na jego twarzy pewne wzruszenie, że już musimy odjechać, a nie wiadomo kiedy się znowu zobaczymy. Była to moja pierwsza misya, na której występowałem jako czynny Misyonarz, gdyż dotychczas od mego wyświęcenia zajmowałem się wychowaniem młodzieży.

Sprawozdanie z misyi, danych w r. 1904. w Galicyi Zachodniej przez Ks. Ks. Misyonarzy z Kleparza.

(Dokończenie).

Paleśnica. Z Zakliczyna wyjechaliśmy w samo południe, by jeszcze tego samego dnia na majowem nabożeństwie pracę zacząć, bo czas naglił. Jak parafia stoi, jeszcze tu misyi nie było. W dawnych nawet zapiskach miejscowych niema o tem żadnej wzmianki, a z nowszych czasów ludzie najstarsi tego nie pamiętają. Takie parafie udają się najlepiej. Wpadliśmy odrazu *in medias res* — bez wspaniałych wstępów, zajazdów. Proboszcz parafii, witając nas, zwrócił się w przemowie swojej do parafian, zaczynając tę swoją mowę od słów P. Jezusa: „Weźmijcie jarzmo moje na się“ (Matth. XI.), wytłumaczył ludziom, co to jest jarzmo Chrystusowe, jak P. Bogu służyć należy — i dalej przy zwykłych ceremoniach rozpoczęła się misya. Na pierwszy wieczór dosyć wielu zeszło się parafian, lubo niektórzy bardzo daleko mają. W Zakliczynie opowiadali niektórzy, że Paleśnica to kraj zakuty, tymczasem ludek tu bardzo przyjemny, potulny, do kościoła chętny tak, żeśmy się tu znaleźli, jakby na wypoczynku po twardej w Zakliczynie pracy. Do ostatniej wizyty kanonicznej mieszkał ks. proboszcz w starej, walącej się ruderze, dopiero śp. ks. biskup Łobos przynaglił chłopów, podczas swego tutaj pobytu, żeby czemprędzej o nowej, uczciwszej plebanii pomyśleli i życzeniu Jego stało się zadość; wybudowali dom jak przystało. Okolica przytem prześliczna, słusznie polską Szwajcaryą nazwana, wiele uprzyjemniała pracę, a proboszcz miły, serdeczny staruszek, tośmy tu byli jak na jakiej wycieczce w Tatrach.

Już się na dobre misya w Paleśnicy zaczęła, a w Zakliczynie jeszcze P. Jezus po nas kończył. W czasie nieszpo-

rów na św. Trójcę zerwała się burza, trwająca ze 2 godziny, piorun za piorunem walił; przeszła ona nietylko nad tutejszą okolicą, ale i dalej sięgła aż za Żywiec. W zakliczyńskiej parafii był jakiś jegomość niby katolik, ale taki, że go chłopi pospolicie nazywali „przechrztą“, podobno ormianin. Na misye raz zajrzał, do spowiedzi nie był i czeladzi nie chciał puścić. Jak ona burza nastała, pierwszy piorun uderzył w jego zabudowania, napełnione ściętą nad Dunajem wikliną i wszystko spalił do szczętu. Był znowu pewien chłop, o którym donosili ludzie, że lubi popijać, a na misyi nie chciał ślubować. W czasie tejże burzy drugi piorun wpadł do jego chaty kominem, spalił na nim ubranie i tak mu krzyże poparzył, że za kilka dni umarł. Dobrze psalmista powiedział, że chwałę Bożą głoszą nawet ognie, pioruny, burze: *ignis, spiritus procellarum*. Nazajutrz był w Zakliczynie jarmark solenny, zebrało się tysiące narodu z ponad Dunaju, jedni drugim opowiadali, co się stało. Nasi pokutnicy paleśniccy mięknli, a zakliczyńscy utwierdzali się w dobrem.

Z wad, z któremi liczyć nam się tu wypadło, wymienić trzeba naprzód pijaństwo. Szesnaście lat pracuje gorliwie ks. proboszcz nad wytępieniem tego nałogu, jednak niewiele postępu było dotąd. Poznosił wesela i chrzciny po karczmach, jakie dawniej tu były w modzie, jednak pokątnie pijaństwo zakorzeniło się. Dalej lenistwo w służbie Bożej, bo wielu światami chodzi i powoli do opuszczania nabożeństwa przywykają, wreszcie bratanie się z żydami: w tak małej, bo zaledwie 2598 dusz liczącej parafii, jest żydów 260, a karczem 9 i 1 synagoga.

Na brak frekwencyi nie można się tu było żalić; owszem od początku do końca było ludzi tyle, że trzeba było nauki na cmentarzu w cieniu lip głosić. Uroczystość Bożego Ciała tuśmy obchodzili. Procesya odbyła się po sumie z 4 przepisanemi na ten dzień ewangeliami. Było nas Misyonarzy 4, ks. proboszcz 5-ty; najstarsi ludzie nie pamiętają, żeby kiedy taka procesya odbyła się w Paleśnicy. Prostotą wiejską, rzewną pobożnością był tu P. Jezus otoczony, a zapewne lepiej

Mu było, niż pomiędzy niedowiarkami w większych miastach, co chwalenie P. Boga przekazali trąbom i moździerzom. W spowiadaniu pomagali nam przezacni OO. Reformaci z Zakliczyna, co niech im P. Jezus wynagrodzi! Wyspowiadało się kobiet i dziewcząt 900, chłopców i gospodarzy 800 i wszyscy do św. Trzeźwości się zapisali.

W niedzielę dnia 5. czerwca rano rozdaliśmy mężczyznom Komunię św., a po sumie odbyło się poświęcenie i postawienie krzyża misyjnego, przy której to ceremonii po raz ostatni w życiu przemówił ś. p. ks. Kamiński; tu w Paleśnicy biegu swojego dokonał. *cursum consummavit.* Okrągłe 130 misyi składa ten snop Misyonarza-sybiraka. Już po długich latach pracy w winnicy Pańskiej, po wygnaniu syberyjskiem stanął na niwie misyjnej i 12 lat ostatnich swego życia tej apostolskiej pracy poświęcił, dorównując, nawet przewyższając gorliwością nas młodych, którzy od początku kapłańskiego życia ten ciężar dnia i upalenia znosimy. Policzył mu już P. Jezus trudy i znoje na tem polu podjęte, a wdzięczny lud, dowiedziawszy się o jego śmierci, modlił się ze łzami za spokój jego duszy — czegośmy byli niejednokrotnie świadkami, objeżdżając ponownie parafie, w których kiedyś ś. p. ks. Franciszek pracował.

Kiedyśmy w Paleśnicy misyę kończyli, już Najprzew. ks. biskup Wałęga przybył do Zakliczyna, żeby stąd zacząć wizytę kanoniczną czchowskiego dekanatu. Lud, osławiony do niedawna jako gniazdo ludowców, witał wspaniale z niekłamaną radością arcypasterza; całe masy, świeżo z Bogiem pojednane, cisnęły się, by z jego rąk Komunię św. przyjąć, a młodsi i bierzmowanie. W poniedziałek dnia 6. czerwca miał pod wieczór zjechać do Paleśnicy. Myśmy też już z rana się zabrali, by zrobić miejsce Najprzewielebniejszemu Gościowi. W Zakliczynie prawie Najprz. ks. biskup konsekrował kościół PP. Bernardynkom, które tu przed kilku laty osiadły. Zatrzymaliśmy się chwilkę, by się pokłonić ks. biskupowi, poczem niebawem ruszyliśmy wózkami przez Dunajec, Olszyny, Wojnicz do stacyi kolejowej Bogumiłowice, a stąd koleją do Krakowa.

Trzydniówka w Mszanie Dolnej.

Od lat kilkunastu wzywają nas do pracy księża proboszczowie w tarnowskiej dyecezyi, a prawie każda misya zacieśnia węzeł serdeczności, przyjaźni, jaką nas zaszczycają. Przeszliśmy już całe pasy, w tej winnicy Bożej, biorąc prawie bez wyjątku parafie jedną po drugiej. Tak n. p. cały skrawek tej dyecezyi od krakowskiej granicy wzdłuż i obok kolei transwersalnej, od Rabki aż pod Sącz, to wszystko łany, rękami synów św. Wincentego a Paulo sprzątnięte, obrobione w ostatnich 2 dziesiątkach lat. Niektóre parafie są takie, że i ludzie się do Misyonarzy przywiążą i Misyonarze do nich, że chętnie się spotykają, radzi u siebie bywają. Już poprzednio w tych opowiadaniach nadmieniłem, jak nam tu dobrze było, po okolicy Mszany Dolnej jeżdżąc, wpaść na popas i wytchnąć w domu przezacnego ks. kan. i dziekana Jankowskiego. Sam Wincenty i wielki naszego św. Ojca czciciel w prześlicznym, przez siebie wystawionym kościele, co jak bazylika nad Mszaną dominuje, wzniósł ołtarz wspaniały dla naszego św. Założyciela, a gdyśmy go prosili, by na 19. lipca zjechał do Krakowa na Kleparz razem z nami chwalić św. Wincentego, przybył i ze sobą dwóch innych sąsiadów przywiózł: ks. kan. Kumarka z Tymbarku i ks. kan. Kudrnę z Kasiny Wielkiej. Z innej znowu części tejże dyecezyi przyjął urząd głoszenia w tym dniu słowa Bożego ks. kan. i dziekan Sołtys z Zakliczyna. Zauważono wtenczas, że z każdej dyecezyi dawnej Polski byli u nas reprezentanci kapłani, a najwięcej, bo aż 4 było z dyecezyi tarnowskiej. Bardzośmy się wszyscy cieszyli tym wyrazem czci i hołdu dla naszego św. Ojca. Na św. Michała przypada znowu doroczna uroczystość patrona kościoła w Mszanie Dolnej. Wypadło się rewanżować. Ponieważ zaś w tym roku obchodzono jubileusz złoty ogłoszenia Dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny, przeto nabożeństwo odpustowe, które jak zwykle, w jednym dniu się obchodziło, tu na 3 dni rozciągnięto; odprawiały się sumy, nieszpory solenne. a myśmy głosili po

dwa kazania dziennie, spowiadając przytem poczciwy i pobożny tutejszy ludek, w czem też miejscowi i okoliczni księża pomagali. Było nas trzech, t. j. ja, ks. Szymbor i ks. Odrobina, który po śmierci ś. p. ks. Kamińskiego przeznaczony został do misyi i tu po raz pierwszy sił spróbował. Nauk powiedzieliśmy 6, wyspowiadało się w tych 3 dniach parafian przeszło 3000. Z tego, com poprzednio o Mszanie pisał, łatwo sobie każdy wyobrazi, jaka to ruchawka była; przez 3 dni od rana do zmroku kościół przepełniony, cośmy jednych wyspowiadali, odchodzili ci do domu, a inni znowu nadciągali — wszystko szło lekko, gładko, bo nie tak dawno misya była. Kiedy wreszcie na św. Michała ks. Głuc z Olszówki swoją kompanię przyprowadził, nie tylko cały kościół się zapełnił szczelnie ludem, ale i cmentarz obok kościoła i droga i place przyległe, aż do rynku sięgali. Niech to będzie na cześć Najświętszej, Niepokalanej. Myśmy Ją tu w górach tym skromnym obchodem uczcili, a równocześnie we Lwowie czciła Ją cała Polska.

Jesień 1904 r. — Misye w krakowskiej dyecezyi.

Jeszcze kawałeczek, a zamkniemy ten r. 1904. Tyle żniwa w tym czasie przygotował nam P. Bóg, że samo opowiadanie tych dziejów już w kilku numerach „Roczniki“ nasze podają, a końca nie widać; trzeba już raz skończyć tę sprawę. Dotąd prawie co misya, to w innych stronach wypadła praca i trzeba było jak piłki przeskakiwać góry czy doliny, z jednego skrawka Galicyi gdzieś na drugi koniec świata się przenosić, aż wreszcie pod jesień dobraliśmy się jednolitego gruntu: wyznaczył nam JEm. ks. Kard. Puzyna 4 parafie w dekanacie czernichowskim. Braliśmy po dwie na jeden wyjazd i tak nam zeszedł cały październik i pierwsza połowa listopada.

Rudawa. Dobrze nam znana ta parafia nie tylko z naszych 2 misyi ale i ze starych notatek praojców naszych stradomskich. Pracowali oni tu po dwakroć: raz w r. 1688.

zaczęli w połowie października misyę dwutygodniową, a skończyli na Wszystkich Świętych, w doroczny odpust tytularny kościoła. Było ich trzech księży i 1 kleryk do katechizacyi. Wyspowiadali przeszło 2000 ludzi. Drugi raz w r. 1733. dali tu nasi ks. ks. Jędzej Kustrzymski i Walenty Jankowski również dwutygodniową misyę, w czasie której wyspowiadało się 2250 osób; na zakończenie przybyło aż dwóch ks. ks. biskupów sufraganów, jeden krakowski, drugi włocławski; ks. biskup Michał Kunicki udzielał sakramentu bierzmowania. Kończy się ta notatka słowami: *Multa bona operatus est Deus hac in missione*. Wiele dobrego zdziałał Bóg na tej misyi. I myśmy tu byli: raz w r. 1896. od 12. do 20. kwietnia (ks. ks. Kamiński, Krzyszkowski, Dudek i ja), potem w r. 1898. od 20. do do 24. marca (ks. ks. Konieczny, Kudlek i ja).

Obecnie po raz trzeci wypadło nam podjąć pracę w tej samej parafii, spieszyliśmy jednak z radością, bo proboszcz zacny, gorliwy, lud prawy, Bogu oddany, to praca nie pójdzie na marne. Wybrało się nas trzech: ks. ks. Szymbor, Odrobina i znowu ja. W sobotę dnia 8. października przed południem wyjechaliśmy z Krakowa, a za godzinkę byliśmy już na miejscu. Było czasu dosyć, by pomówić z miejscowym pasterzem o stosunkach w parafii i zaraz na nieszporach pracę zacząć. Rozłożyliśmy misyę na 2 serye, wyznaczając każdej po 3 dni z okładem. Bywały po 2 kazania dziennie, nie licząc krótszych przemówień; zostało więcej czasu i spokoju do słuchania spowiedzi. Spowiadało nas 3 Misyonarzy, 2 księży miejscowych i jeszcze z dekanatu nadciągała pomoc. Nauk ogółem powiedzieliśmy tu 20, wyspowiadało się 2900 osób.

Ludek gromadził się licznie, zwłaszcza, że to i jubileusz jeszcze trwał. Odpościli sobie poprzednio, jak Ojciec św. nakazał, w chwilach od nabożeństwa wolnych obchodzili kościół całemi gromadami, a spowiedź misyjna była razem i jubileuszową. Na te obchody przyszedł jeden ociemniały staruszek z Nawojowej Góry. Do kościoła jeszcze go chłopczyk prowadził, a na obchody już sam szedł. Pytam go: jakże

wy staruszku traficie, skoroście ciemny? — Jegomość, powiada, najlepiej iść tak na rozum... Co tylko było pod ręką parafian zdatnych do spowiedzi, wszyscy przyszli, prócz 2 czy 3 wyjątków. W samej Rudawie było dwóch braci, jeden szewc, drugi kelner. Donieśli o nich ludzie, że nie chcą iść na misyę. Poszedłem po nich, jednego spotkałem w domu, dał się namówić do spowiedzi, ale już do Komunii św. nie przyszedł, bo mu brat zabrał ubranie i wyjechał w niem do Krakowa, a tylko jedno mieli w domu. Biedna rodzina do ostatecznej nędzy przyszła skutkiem pijaństwa i teraz jeszcze wygrzebać się z biedy nie może. Inny znowu gazeciarz jakiś z Dubia też nie chciał na misye przyjść, owszem rozmaitości pokątnie wygadywał. Nie śmieli go ludzie zaczepić, bo się odgrażał, że ich spali; zjawił się dopiero na konkluzyi, kiedyśmy *Te Deum* śpiewali. Ks. kan. Łobczowski, przemawiając na zakończenie, pochwalił parafian, że go cieszyli wiernem i licznem uczęszczaniem na misye, a potem wspomniał i o tych odrodnych, zbłąkanych owieczkach, zwłaszcza o gazeciarzu. Zakończył, odczytując ustęp z listów św. Pawła, gdzie jest wzmianka, jak Apostoł narodów jawnogrzesznika w moc szatana oddał. „Tak też chyba i mnie wypadnie zrobić, powiedział, z tymi upartymi, którzy na wołanie Boże zatwardziałe okazali serca.“ Nim to nastąpi, pomódlmy się jeszcze za tych biednych zbłąkanych. Klęknął przed wielkim ołtarzem, z nim my Misyonarze i prawie cała parafia; odmówiliśmy 5 pacierzy. Właśnie i ten zbałamucony człowiek był wtenczas w kościele; popłakał się, słysząc te gromy i modlitwę z tylu serc za niego do Boga zasyłaną; zaraz po nabożeństwie pobiegł za proboszczem na plebanię, upadł do nóg, przeprosił za zmartwienie, którego był powodem. Kiedy się w Krzeszowicach odbywały misye OO. Redemptorystów, chodził na nie wiernie, wyspowiadał się i świadectwo od dyrektora misyi przyniósł ks. kanonikowi. Tak to niektóre dusze same lecą do Boga, inne trzeba *opportune importune* — w porę nie w porę zwabiać. Zwykle to i dobrze takie kozły ofiarne między uczciwymi ludźmi napotkać, bo mierząc w nich, potępiając ich

wybryki, dobrych się utwierdza, przestrzega. W niedzielę dnia 16. października rano skończyliśmy tę pracę, a po południu stanęliśmy do nowej w Porębie Żegoty.

Poręba Żegoty. Tuśmy już pracowali raz w roku 1896. od 10. do 19. maja. Było nas wtenczas czterech, t. j. ks. ks. Kamiński, Ciopalski, Dudek i ja, a teraz ci sami co w Rudawie, skądeśmy się wprost przez Krzeszowice, Tenczynek etc. przenieśli. Po tamtej misyi wiele, bardzo wiele ku dobremu postąpiło. Sam kościół był maleńki, przytem wilgotny, stąd ścisk, zaduch nie do wytrzymania. Obecnie o jakie trzy razy go zwiększono; można było swobodnie słowo Boże głosić, spowiedzi słuchać, nabożeństwo odprawiać. Doczekali się tak pięknego i obszernego kościoła parafianie tutejsi dzięki ofiarności dworów JWnego P. Józefa hr. Szembeka, kolatora, tudzież JE. Andrzeja hr. Potockiego, którzy nie tylko przypadające na siebie datki konkurencyjne spłacili, ale złożyli i za lud z tych gmin, gdzie mają swoje dobra. Serca parafian również pięknie znaleźliśmy odrestaurowane. Na misyi tamtej szła praca powoli, poważnie, zato teraz lekko i gładko. Poprzednio, o ile pamiętam, przeszło 2000 osób zapisało się do św. Trzeźwości, co się na moralnej stronie parafian odbiło. Pomoc w słuchaniu spowiedzi dopisała tym razem lepiej, niż poprzednio, tośmy też niewiele trudu w Porębie zaznali. Przezacni OO. z Alwernii dojeżdżali codzień regularnie, sąsiedzi również o nas pamiętali i spieszyli z pomocą. Bywały wypadki, że raczej penitentów, niż spowiedników brakowało. Wyspowiadaliśmy kobiet i dziewcząt 1300, gospodarzy i chłopaków 950, razem 2250, nieco mniej, niż poprzednio, bo jeszcze wielu nie wróciło z Prus, gdzie na robocie bawią. Nauk miewaliśmy tu jak i w Rudawie po 2 dziennie, oprócz tego przemówki krótsze i exhorty. Znowu w tygodniu ukończyliśmy tę misyę (od 16. do 23. października). Konkluzyę urządziliśmy w niedzielę na sumie, po południu odwiedziliśmy kochanych OO. w Alwernii, a w poniedziałek rano wybraliśmy się nową kolejką na Regulice, Spytkowice, Skawinę do swoich, gdzieśmy też w samo południe stanęli.

Czernichów. Idąc już drugim zawrotem po krakowskiej dyecezyi, tak się zwykle urządzamy, że się nam dostają te same parafie teraz, któreśmy poprzednio poznali. W czernichowskim dekanacie wzięli teraz Paczółtowice OO. Redemptoryści, a nam w to miejsce JEm. wyznaczył Czernichów; inne parafie te same zostały. Nieco to i ułatwia pracę w parafii, kiedy się ją bliżej zna; można się na poprzednią pracę spuścić, nie trzeba się w kółko obracać. Do Czernichowa wybrało się nas tym razem trzech: ja, ks. Szymbor i ks. Steinsdorfer. Parafia to poważna, bo przeszło 7000 dusz licząca, a prawie wszyscy tacy, że przeważnie światami krążą, płynąc Wisłą za Toruń i Gdańsk, Pomrów nawet znają. W roku 1896., kiedy były misye urzędowe po tym dekanacie, pracowali tu OO. Jezuici; przed kilku laty byli tu znowu OO. Kapucyni a i tak naród tu dosyć na pobożność ciekawy: na krakowskich odpustach, u nas na rekolekcyach etc. nie braknie Czernichowian. Tylko z flisu wrócą, to chodzą po Krakowie, żeby naleciałości w świecie nabyte strzepać. Parafie rozdzieliliśmy na 2 serye, każdej seryi dając 3 dni do nauk i słuchania spowiedzi i jeszcze 1 dzień na słuchanie spowiedzi tych, którzyby się przedtem nie wyspowiadali. Trwała tym sposobem misya od 29. października do 9. listopada. Na pierwszej seryi wypadła niedziela i uroczystość WW. Świętych; wzięliśmy naprzód mężczyzn, żeby liczniej przyszli — było ich 1600; w drugiej połowie kobiet i dziewcząt 2200. Nauk miewaliśmy po 3 dziennie, a przytem exhorty, rachunki sumienia — wszystkiego razem 32. Lud tutejszy bardzośmy polubili, bo mimo najrozmaitszych naleciałości w gruncie jest dobry, pobożny, wiele w nim dobrej woli. Spowiedzi pomagali nam słuchać miejscowi księża, t. j. ks. poddziekan Królikowski, ks. Łabędź wikaryusz i ks. Jelonek, katecheta tutejszej szkoły agronomicznej; dalej dwóch OO. z Alwernii prawie przez całą misyę było, a czasem i ze sąsiadów kto zajrzał. Skończyliśmy wszystko na czas tak, że znowu dnia 9. listopada, kiedy się nas już Rybnianie spodziewali, mogliśmy u nich stanąć.

Rybna. Jak się to można na ludziach zawieść! Po tamtej misyi (r. 1896.) już i nie wiedziałem, jak Rybnę wychwalać, taki poczciwy wydawał nam się tutejszy lud. Zdawało się, że misyi nigdy nie zapomną, że jeszcze goręcej przywiążą się do katolickiej wiary, a tu 9 lat wystarczyło, żeby się ten naród zmienił do niepoznania. Może zresztą i przedtem byli zbytniki, ale się pokryli — i teraz dopiero wyszli na jaw. Ówczesny proboszcz już przed kilku laty pomarł; obecnie pasterzuje tu ks. Widlarz, dawny notaryusz Książęco-Biskupiej Kuryi, kapłan bardzo gorliwy i zacny. Od kilku zaledwie lat jest proboszczem, a zna każdego parafianina i wszystkie jego dzieje. On nam też przedstawił właściwy stan parafii, z czego się wiele korzystało. Po tamtej misyi znalazł tu szatan narzędzia usłużne, ludzi takich, zresztą wpływowych, którzy jawnie do pijaństwa zachęcali; gazeciarze za naszego pierwszego w tej parafii pobytu dopiero tu zaglądali, teraz już całe gromady uzbierali sobie towarzyszów. Wogóle ciężko szły sprawy. Upominaliśmy, jakeśmy tylko umieli i mogli — może się co aby z tej misyi utrzyma, daj Boże! Spowiadaliśmy przeważnie sami z miejscowymi księżmi, czasem zajrzał kto ze sąsiedztwa i pomógł. Trwała ta renowacya od 9. do 17. listopada; wyspowiadało się kobiet i dziewcząt 1700, a na męskiej seryi było 1300; nauk powiedzieliśmy 20.

W Czernichowie dosyć jeszcze sprzyjała pogoda i ciepło; tu jak tylko św. Marcin zjechał wiernie na białym koniu, tak śniegi i mrozy aż do końca trzymały. Dnia 17. listopada wieczorem po dobrze zmarzniętej ziemi, śniegiem pokrytej, zajechaliśmy wreszcie do swoich na zimowy spoczynek. Borzęcin i Rybna to dwa końce wieńca prac i wycieczek naszych misyjnych, jakieśmy w tym roku na chwałę Bożą podjęli u stóp Najświętszej Panienki złożyli.

Ks. Józef Sokołowicz
i. S. c. mis.

Dwa listy Siostry Moniak.

List do Najczcigodniejszego ks. Wizytatora Kiedrowskiego.

Shanghai, 24. grudnia 1905.

Może na wiadomości telegraficzne o zaburzeniach tutejszych kto o nas myśli, że już nie należymy do żyjących. Ale korona męczeńska znowu się nam wymknęła, chociaż przyznam się, że umrzeć dlatego, że się mandaryn z konsulem pokłócili, to nie bardzo do życzenia.

Głuche echo o buntach chińczyków przeciw białym datuje się od kilku miesięcy, są oni zachęcani i podburzani przez japończyków, którzy wysoko głowę podnoszą (pomimo malutkiego wzrostu).

Do smutnej tragedyi, której byliśmy świadkami tu w Shanghaju w dzień 18. grudnia, dało powód uwięzienie pewnej chinki, wdowy po mandarynie, oskarżonej słusznie czy niesłusznie o sprawę, która do konsula angielskiego wcale nie należy.

Mandaryn Tau-te chciał chinkę wydobyć z więzienia; zaczęła się kłótnia pomiędzy tymi dostojnikami, nadeszły potem piękne wyrazy, a w końcu Tau-te otrzymał potężny policzek jako cały wynik swoich zabiegów. Zapałka została podłożona do słomy; chińczycy, nienawidzący tak bardzo europejczyków, dali sobie hasło, tylko że się wzięli do dzieła bardzo niezręcznie, mogli bowiem nas wymordować bardzo łatwo, nikt nie był przygotowany do obrony. Od rana dnia 18. grudnia sklepy chińskie były zamknięte, po ulicach snuły się gromady rozzuchwalonych chińczyków i rozpoczęły się napady na przechodniów: zatrzymywano powozy, zdzierano ubrania, kradziono pieniądze, zegarki i wszystko, co można

było pochwycić. Przed naszą bramą poranili chińczycy w straszliwy sposób jednego z naszych doktorów, wywlekli go z powozu, zabrali mu wszystko, co miał przy sobie; za chwilę drugi ranny przybył. Dalej podpalili dwie stacye policyjne, 200 więźniów wypuścili na wolność, wybijali okna i szyby w sklepach europejskich. Trwały tak te mordy, wrzaski aż do około 10-tej rano, kiedy okazali się z jednej strony uzbrojeni ochotnicy, z drugiej policyanci; zaczęły się naprawdę potyczki. U nas przygotowano pompy ogniowe, wysłano ambulans pod eskortą wojska na przywożenie rannych.

Trzech doktorów przy pomocy Sióstr aż do godziny 3-ciej po południu pracowało w sali operacyjnej. Otrzymaliśmy 18 rannych, z których 15 potrzeba było zatrzymać w szpitalu. Nadto w aptekach miejskich inni doktorzy mieli swoje posterunki do opatrywania rannych. Około wieczora uspokoiło się trochę, ale tej nocy nikt z europejczyków nie poszedł na spoczynek, kobiety zaś i dzieci wywieziono za miasto.

Na drugi dzień spostrzegliśmy ogromny afisz chiński na ulicy. Wysłaliśmy chińczyka, aby zobaczył, jaka jego treść. Zawierał on upomnienie dla publiczności chińskiej, że kto się poważy naruszać pokój europejczyków, skazany będzie na śmierć.

Tej samej nocy Siostry czuwające obudziły nas, powiadając, że otrzymały ostrzeżenie, że 3000 chińczyków mają napaść na nasz szpital. Wezwani telefonem przybyli: Dr. Mac Lead i Dr. Paulun, a z nimi komendant wojennego okrętu ze 6 marynarzami dla obrony wewnętrznej domu, 60 zaś innych zostało na moście, aby być gotowymi na dane hasło. W niepokoju przebyłyśmy noc całą. Dzięki Bogu, nic nie nastąpiło, ale miałyśmy straż wojskową przez kilka następnych nocy. Aż do Bożego Narodzenia nikt bez broni nie wychodził z domu. Powoli chińczycy się uspokoili, widząc, że do portu przybywają coraz liczniejsze wojenne okręty. Tymczasem Shanghai przepełniony jest podejrzanymi ludźmi i kto wie, czy w dzień Nowego Roku chińskiego nie nastąpi coś

więcej. Spodziewają się wszyscy ogólnego powstania chińczyków przeciw europejczykom i przyznam się, gdybym była chinką, tobym lepiej usposobioną nie była. Zanadto się tu europejczycy rozpanoszyli. Około Ning-Po chińczycy wymordowali całą rodzinę ministra protestanckiego i wielu z nich opuszcza swoje posterunki, nie czując się bezpiecznymi pomiędzy podburzaną ciągle ludnością.

Dwudziestego szóstego grudnia miałyśmy tu małą uroczystość. Już z początkiem roku, w kwietniu zdaje mi się, rząd francuski odznaczył dwóch z naszych doktorów Dr. Mac Lead'a et Marshall'a za opiekę i poświęcenie około marynarzy i żołnierzy francuskich w r. 1900. i cholerycznych w r. 1902., teraz tą samą godnością odznaczono Dr. Mills. O 3-ciej po południu pięknie udekorowaną salę napełnili rodzina i przyjaciele odznaczonego. Konsul po przemowie, której nikt nie słyszał, przypiął do piersi medal.

Doktor z kolei dziękował za zaszczyt mu uczyniony, zaznaczając, że jeśli zakład wydołał pracy w pielęgnowaniu tak licznych chorych w r. 1900. i 1902., to jest to zasługą Sióstr, na których poświęcenie i zapobiegliwość zawsze liczyć można, oświadczył też, że gdyby teraz potrzeba była przyjąć znaczną liczbę chorych, ofiarowaćby można przynajmniej dostateczną liczbę łóżek, mając nowy budynek do dyspozycyi. Ja dodam, że ten nowy budynek jest naszym wielkim kłopotem. Administracya zażądała powiększenia liczby Sióstr o dziesięć, na co Zgromadzenie odpowiedziało, że niema członków do dyspozycyi i nawet nadziei nie daje na później, my zaś w liczbie dwudziestu nie możemy podołać pracy, nie tyle dla liczby chorych, ile dla wymagań; każdy chory może mieć swego doktora, który go odwiedza w każdej porze dnia i nocy, jest tylko 18 telefonów w domu.

Dnia 29. grudnia 1905. r. czcigodny nasz Ojciec Dyrektor poświęcił nowy budynek. Pewnie to zajmie, jak się ta uroczystość odbyła. Oto dokonano jej cichaczem, aby nikt z administracyi o tem się nie dowiedział, o godzinie 6½ rano po Mszy św., przy oświetleniu elektrycznem, mniejsza o to,

że nie było ceremonii wspaniałej; spokojnie możemy się obecnie przenosić, licząc na pomoc Bożą w naszej pracy.

Teraz zaczynamy przeprowadziny, nie łatwa to rzecz, bo potrzeba się troszczyć o wszystko, o umeblowanie, o bieliznę, wszystkie te rzeczy fabrykują się w domu, nic ze starego domu się nie przenosi. Ja mam całą odpowiedzialność za aptekę, którą powierzyłam św. Józefowi, potrzeba mi bardzo Jego opieki, aby nie zatruć kogo przez pomyłkę lekarstwami.

OO. Jezuici budują tu ogromny szpital misyjny dla europejczyków i chińczyków, który na przyszły rok 1. lutego ma być oddany Siostrom. Jesteśmy z Ojcami we wielkiej przyjaźni; jeden z nich powiedział niedawno: „Chwałą religii katolickiej w kraju pogańskim są Siostry Miłosierdzia, zawsze odważne, zawsze wierne na naznaczonym im posterunku".

Moje przeczucie mi mówi, że może opuścimy ten dom a przeniesiemy się Zi-ka-Wei. Dom jest za miastem, powietrze wyborne, i tylko pięć minut drogi od naszego cmentarza. Mamy tu nasz cmentarz, na którym spoczywa, zdaje mi się, 20 Ks. Ks. Misyonarzy i 28 Sióstr. Każde Zgromadzenie ma swój własny cmentarz.

Zgromadzenie nasze nie bardzo tu liczne. Á la Procure, jak my tu nazywamy, niema jak tylko trzech Księży Misyonarzy i dwóch braci. Dom stary, spleśniały, wilgotny i zimny, a jego mieszkańcy prawie ten sam mają wygląd. Powiadam, że żałuję mocno, żem złożyła ślub ubóstwa, bobym chętnie cichaczem pod dom podłożyła zapałkę. Nowy nasz O. Dyrektor ks. Guillouse nie może się tu przyzwyczaić do pałaców pekińskich. To też już przemyśliwa o przeniesieniu się w stronę Zi-ka-Wei około nowo budującego się szpitalu.

Dom nasz centralny liczy zaledwie 13 Sióstr, nadto 6 Sióstr-seminarzystek, z których 3 hiszpanki z wysp Filipińskich a 3 chinki. W pięknej kaplicy codzień dwa domy się łączą na Mszy św. W niedzielę i domownicy nasi idą tam

na Mszę św., u siebie bowiem mamy tylko malutką kapliczkę aby nie razić oczu protestanckiej administracyi.

Na dzień 25. stycznia przypada Nowy Rok chiński. Każdego roku mamy zaproszenie na obiad chiński do domu centralnego. Siostry chinki z postulantkami przygotowują się dwa tygodnie przedtem. Na tym obiedzie podają przynajmniej ze 30 potraw, przygotowanych na malutkich talerzykach na sposób chiński, następuje potem przeszło 20 gatunków owoców, cukrów, ciast i różnych przysmaków. Obiad ten nas ogromnie zawsze bawi, a Siostra Wizytatorka uważnie przypatruje się, kto najlepiej umie manewrować patyczkami, aby rozpoznać powołanie na misye. Niestety nie chce mnie zauważyć, chociaż tak dobrze patyczkami umiem się posługiwać.

List do Najczcigodniejszej Siostry Wizytatorki Zaleskiej.

Shanghai, 11. marca 1906.

W dzień 25. lutego b. r. rozwścieklona ludność chińska zamordowała w Nantchang ks. Lacruche, Misyonarza, 5-ciu braci Marystów i całą rodzinę ministra protestanckiego, wszystkie zaś ich budynki należące do misyi spalono. Siostry nasze cudem prawie ocalały.

Przybyły one tu 7. marca b. r. Skupiłyśmy się około nich, by posłyszeć z ich ust bolesne szczegóły, których tak pragniemy, gdy serce przepełnione smutkiem i żałobą. Straty są wielkie w osobach i siłach do pracy w winnicy pańskiej, ale dotkliwsze są upokorzenia i potwarze, rozsiewane przez protestantów przeciw religii katolickiej i Zgromadzeniu, rozgłaszające, że Misyonarz katolicki zabił mandaryna w swym domu, że potem chrześcijanie podpalili domy misyjne, aby zyskać trochę pieniędzy. Potwarze te dotąd nie są odwołane, z niechęcią tylko zaczęły dzienniki protestanckie tłumaczyć artykuły, w których są sprawozdania urzędowe co do całego zajścia. Przystępuję do opisu.

Przed dwoma laty mieszkańcy prowincyi Sin-tchang zamordowali katechistę, ustanowionego tam przez Ks. Ks. Misyonarzy. Żądano sprawiedliwości i ukarania zbrodni. Mandaryn Kiang był wyznaczony do wykonania wyroku, ale pewnie przepłacony nic nie uczynił, ale jeszcze przysiągł w pagodzie przed bożyszczami, że zbrodniarzom nic się złego nie stanie, przeciwnie on pewnie wpierw życie utraci. Sprawa wlekła się przez dwa lata, a ś. p. ks. Lacruche powiadał nieraz: „Kiang chce mi dać pieniędzy, ale ja nie ustąpię, aż otrzymam ukaranie zbrodni“.

W dzień 22. lutego b. r. Kiang zaprosił się na obiad do Ks. Ks. Misyonarzy, w czasie którego chciał koniecznie tę sprawę zakończyć. Na jego warunki odpowiedział ks. Lacruche, że nic nie może zrobić bez porozumienia się wpierw co do tej sprawy ze swoim biskupem, że lepiej, gdy warunki poda pisemnie i ofiarował mu na to swój pokój, ale Kiang wolał to uczynić u sekretarza misyi Lieou. Po ukończeniu pisma wysłał dokument przez p. Lieou księdzu Lacruche, a sam zamknąwszy drzwi, poderznął sobie gardło.

Rozruch się zrobił w stolicy, że Misyonarz katolicki zabił mandaryna, a, jak protestanci utrzymują, nic to dziwnego, bo zwykle przy ucztach jest się zapalonym winem a więc to bardzo prawdopodobnem być może. W sobotę rozdano po wszystkich domach zaproszenia na zebranie, które się miało odbyć w niedzielę 25. lutego o 10. rano. Nikt nie mógł przeczuwać, co z tego zebrania wyniknie do tego stopnia, że Najśw. Sakrament zachowano do ostatniej chwili w 4 miejscach. Rano w niedzielę przede Mszą św. ks. Lacruche pisał do Siostry służebnej Guerelle: „Sprawa jest bardzo ważna. Bądźcie roztropne, niech nikt z domu nie wychodzi, nie czyńcie nic, czemby można ludność tutejszą rozjątrzyć. Proście Boga o światło potrzebne dla mnie w tych dniach, co mam czynić, by wszystko wyszło na chwałę Bożą. A jak się ma ks. Salavert? Jestem o niego spokojny, dokąd jest pod waszą opieką. Pozdrowienie wszystkim Siostrom“. Oto ostatnie jego słowa. Wysłał jeszcze telegram

do Mgra Ferrant, donosząc o wszystkiem i list do konfratra ks. Gordon, ostrzegając o możliwem niebezpieczeństwie. O 10. godzinie odbyło się zebranie pod hasłem „śmierć europejczykom". Rozwścieklona tłuszcza rzuciła się na rezydencyę Ks. Ks. Misyonarzy. Powiadają świadkowie tej sceny, że porwali ks. Lacruche, gdy z kluczem od tabernaculum spieszył, by spożyć Najśw. Hostyę. Nie mógł tego uskutecznić i nie wiadomo, jaki los spotkał biednego Pana Jezusa. Ranny wybiegł z domu i schronił się do domu pewnego poganina, który go bardzo lubiał. Ten na klęczkach go błagał, aby wyszedł z jego domu, bo mu rabusie spalą całe mienie. W tej chwili wpadli zbrodniarze i zato, że Misyonarza znaleźli u niego, złupili mu cały dom, nieszczęśliwego ks. Lacruche wywlekli za nogi z domu i wyrzucili w ten sposób, że głowę roztrzaskał o pień drzewa, tam go dobili kamieniami i kijami bambusowymi. Zdarli z niego wszystką odzież, a ciało wrzucili do poblizkiego stawu. Nadeszła kolej na ks. Martin. Ten odważnie wyszedł naprzeciw oprawców ze słowami P. Jezusa: „Jeśli mię szukacie, oto jestem". To ich wprawiło na chwilę w zdumienie. Jakiś zuchwalec zranił go kamieniem, ale on, korzystając z osłupienia napastników, wskoczył na dach niskiego domu i tak z pomocą Bożą, przeskakując z dachu na dach, kryjąc się za kominami domów, uszedł ich baczności.

Bracia Maryści mieli tu kolegium o pięć minut od rezydencyi Ks. Ks. Misyonarzy. Widząc, co się dzieje, ratowali się ucieczką i dotarli szczęśliwie do brzegów rzeki, prosząc, żeby ich wzięto na łodzie, gdzie mogli się ocalić; ale lud z brzegów wołał: „Nie bierzcie ich, wiecie, że mandaryni zabronili udzielać jakiejkolwiek pomocy europejczykom i nikomu nie wolno opuścić portu". Tak biedni bracia u brzegów zostali wymordowani w okropny sposób, ciała ich, odarte z odzieży, wrzucono do rzeki.

Za staraniem gubernatora odnaleziono je i w trumnach przewieziono do Kinkiang. Siedm trumien złożono w kaplicy katechumenów u Sióstr. Ks. Salavert, który umarł w Kin-

kiang, był ubrany w strój kościelny, ks. Lacruche w bogaty strój wielkiego mandaryna, bracia także byli wszyscy ubrani po chińsku.

Chińczycy myślą, że połowa zadosyćuczynienia uskuteczniona, gdy zwłoki są pięknie przybrane i w kosztownych trumnach, trzeba bowiem wiedzieć, że chińczyk jest gotów wszystko poświęcić, aby mieć piękne ubranie po śmierci i ładną trumnę. Monsignor Ferrant zamierza ciała męczenników na nowo odprowadzić do Nantchang i umieścić je albo w kaplicy, albo uczcić jakim wspaniałym pomnikiem wśród samej stolicy, aby tam na wieki były pamiątką. Powiada, że rząd musi na to pozwolić i uczynić to nawet na swój koszt. Siostry widziały zabitych w trumnach. Ks. Lacruche miał wyraz twarzy bardzo smutny i rzewny, pewnie jako przełożony umierając czuł swoją odpowiedzialność. Bracia leżeli jak we śnie spokojnym, pomimo strasznych ran, któremi byli okryci. Biedni, jak święci niewinni młodziankowie z Betleem oddali swe życie za Pana Jezusa. Jeden z nich miał zaledwie 18 lat.

Siostry przebyły spokojnie czwartek, piątek, sobotę i poranek niedzielny. Ks. Rossignol uważał za stosowne wcześnie tu odprawić Mszę św., nie wiedząc, co czas przyniesie. Ks. Salavert był bez przytomności całą noc poprzednią i wszyscy lękali się, jaki obrót choroba weźmie. Powiada Siostra Guerelle, że czytając w Ewangelii niedzielnej słowa P. Jezusa: „Oto idziemy do Jeruzalem, i spełni się wszystko, co jest przepowiedziane o Synu człowieczym, że będzie wydany itd.“. Bardzo smutnego doznała wrażenia i jakby przeczucia pewnego, że dziś się wszystko skończy. Według zwyczaju w ostatnią niedzielę przed postem miały w czasie obiadu *Benedicamus* i w sposób żartobliwy rozmawiały o przyszłem męczeństwie. Dzwonią, Siostra Génin wychodząc powiada ze śmiechem: „Oto są! jeśli mię zabiją, zaraz w niebie modlić się będę za was“. Otwiera, oto ks. Rossignol, którego rezydencya już była w płomieniach. „Wychodźcie Siostry, niema ani chwili do stracenia, chińczycy są blisko. Sam wskoczył do kaplicy, spożył Najśw. Sakra-

ment, poczynają wszyscy wychodzić, ale dom już był oblężony, nowy kłopot, jak przenieść umierającego ks. Salavert. Od roku kawał muru był rozwalony poza domem, wyrzucano sobie niedbalstwo, że dotąd nie naprawiony, ale właśnie ten wyłom muru zachowała Opatrzność na ratunek. Czterech chrześcijan wzięło naszego chorego i cała gromadka wyszła z domu, kryjąc się w ubogiej chacie sąsiadów. Ale tu zostać nie mogli, to jakby z deszczu pod rynnę. W pobliżu znajduje się więzienie pod zarządem mandaryna. Tam weszli. Na wstępie ks. Rossignol powiedział mandarynowi: „My tu szukamy schronienia, jeśli nas uratujesz, będzie to na twoją chwałę, jeśli nie chcesz, umrzemy tu w twoim domu, bo nie ruszymy się stąd“. Na wstępie wszyscy otrzymali ostatnie rozgrzeszenie, by być gotowymi na wszystko.

Powiadają Siostry, że mieszkańcy domu okazali się bardzo życzliwymi dla nich. Przynieśli im żarzących węgli do ogrzania się oraz herbaty, opiekowali się, jak mogli, chorym ks. Salavert, który ciągle był bez przytomności. Ukryci byli w najdalszym zakątku domu i to bez światła, bo gospodarz obawiał się, aby się nie zdradzono; pozostali do 10. godziny w nocy, drżąc z niepokoju, co się z nimi stanie, bo i tu mogli być zdradzeni.

O 10. przybyła eskorta wojskowa, aby ich odprowadzić do statku gubernatora. Siostrom przyniesiono ogromne płaszcze wojskowe z kapiszonami: zdjęły kornety, nasunęły kapiszony i dalej do szeregu. Rozpoczęła się prawdziwa droga krzyżowa. Trzeba wiedzieć, że deszcz lał strumieniami z grzmotami i piorunami, a od 6 tygodni nie widziano tu promyka słonecznego. Można sobie wyobrazić, jakimi tam wertepami trzeba było przechodzić, bo drogi chińskie zawsze są zaniedbane, a do tego niepokój, gdzie je też zaprowadzą, czy mogą zaufać chińczykom? Powiadają Siostry, że żołnierze chińscy byli bardzo życzliwymi, dopomagali im, gdy ustawały w drodze, gdy wpadały w kałuże i z błota wydostać się nie mogły, okazywali litość choremu, który drżał od zimna nie będąc należycie okrytym. Wreszcie po 12. w nocy stanęli nad

brzegiem, gdzie mały parowiec ich oczekiwał. Ten był tak malutki, że się Siostry zaledwie na nim pomieściły, ale były wybawione od śmierci. Mandaryn podał im swoje nazwisko, powiadając: „Wybawiłem was od niebezpieczeństwa, nie zapomnijcie o mnie". Niech mu Bóg to policzy i wynagrodzi darem wiary.

Nie opuściły Nantchang aż o 8-mej rano 26. lutego, a do Kinkiang przybyły nazajutrz o 11-tej rano. Chorego ks. Salavert umieszczono u Sióstr, gdzie tego samego dnia wieczorem o godzinie 9-tej zakończył życie, aby się połączyć ze swoimi poprzednikami, a i jemu pewnie Mistrz dobry nie odmówił palmy męczeńskiej. Trudy podróży i zmęczenie skróciły mu życie.

To pewne, że Chiny chcą się wydobyć z pod wpływu europejczyków, do czego im za wzór i zachętę służy Japonia. Polecamy św. modlitwom misyę Nantchang tak bardzo doświadczoną, aby jak najprędzej krzyż tam na nowo zajaśniał. Siostry uratowane są tu u nas w domu centralnym; złożyłyśmy składkę ze zbytków, a raczej mniej potrzebnych rzeczy z naszych ubrań, ale cóż, to wszystko za mało. Wyszły one z refektarza, jak stały. Zajęte są przyrządzaniem sobie trochy odzienia i bielizny i pełne są odwagi do powrotu na swoją misyę, ale to tak prędko nie nastąpi, potrzeba wpierw dom zbudować. Przełożeni niespokojni są o Yantchefou-Kingnan, stamtąd niema ucieczki. Niech je Bóg otacza opieką swoją. Chińczycy są okropnie źle usposobieni, opowiadał nam jeden z misyi, że po miastach i wioskach, w pagodach rozwieszane są afisze: „Śmierć europejczykom, śmierć chrześcijanom, śmierć Misyonarzom, śmierć dyabłom europejskim".

Siostry Miłosierdzia w Galicyi w czasach Józefinizmu.

(Dokończenie.)

Z wszystkiego, cośmy powiedzieli, zdawałoby się, że Józef II. przynajmniej szpitale Sióstr Miłosierdzia obroni od rządowej kontroli. Ale i tu znalazł cesarz-reformator coś do poprawy; zresztą wymagały tego i nieznośne stosunki, w jakich znajdowały się ówczesne szpitale, to też rozporządzenia rządowe wyszły tu tylko na korzyść Szarytek. Natłok chorych po szpitalach był ogromny; w szpitalu powszechnym we Lwowie było 200 chorych, w Brodach 20, w Maryampolu 90, w Rozdole 67 a w Zamościu 50. W szpitalach tych nie znano żadnej klasyfikacyi chorych według rodzaju choroby; bez względu na jej rodzaj mieścili się na wspólnych salach, co utrudniało metodę leczenia, narażało na nowe zarażenia, nie mówiąc już nic o porządku, którego nie można było utrzymać. Otóż tej klasyfikacyi domagał się cesarz i rzeczywiście przeprowadzono ją najpierw w szpitalu powszechnym we Lwowie, lecz nieznośne stosunki trwały pod tym względem i nadal po szpitalach prowincyonalnych; widzieli to starostowie i nie szczędzili nagany Siostrom, lecz niczego na adaptacyę budynków wyłożyć nie chcieli. Drugą ważną innowacyą, zaprowadzoną przez Józefa II. było przesiedlenie Szarytek wraz z ich szpitalami do opuszczonych klasztorów. Siostry zyskiwały na tem bardzo wiele, przedewszystkiem obszerne lokale i piękne kościoły; pospolicie budynki te wymagały jednak natychmiastowej naprawy, za czem znowu szła nieodstępna korespondencya, trwająca latami całemi, różne komisye, kontrole i t. d. We Lwowie otrzymały Siostry klasztor po OO. Reformatach, a w 1795 zostają ze swego szpitalika przeniesione do szpitala powszechnego.

W Brodach otrzymują klasztor po OO. Dominikanach w 1783. r. i tu adaptacya budynków pochłonęła znaczne sumy. Kłopoty z rządem, a zwłaszcza utarczki z magistratem tej żydowskiej mieściny, odmawiającym wszelkiej zapomogi, skłoniły Siostry do przesiedlenia się do Załoziec do opuszczonego klasztoru OO. Augustynów. Za sprzedane realności w Brodach kupiły wtedy Siostry Trościaniec wielki z Zarębami wielkiemi. Jeszcze w 1838. r. pobierały tu Siostry 500 fl. rocznej subwencyi, przyznanej im przez Józefa II., choć według obliczeń fiskalnych mają w swych dochodach nadwyżkę; widocznie im się lepiej powodziło na nowem stanowisku niż w Brodach.

Najnędzniejszą fundacyę miały Siostry w Maryampolu, to też Józef II. chciał je przesiedlić do Stanisławowa, lecz w końcu oddał im klasztor po Kapucynach i kazał tam przenieść szpital i zakład sierot w 1784. roku. Nawet kosztorysy przebudowy kazał cesarz przygotować, lecz jeszcze 16 lat miało upłynąć, nim Siostry sprowadziły się do rzeczonego budynku. Rząd zwlekał z adaptacyą klasztoru, który na razie obrócono na magazyn wojskowy. Ze zwłoki tej skorzystali rusini i podczas wojny tureckiej (1787.—92.) dostali sie w posiadanie kościoła kapucyńskiego. Akta kancelaryjne nie wspominają zgoła o jakiemś nadaniu w tym względzie i chyba samowolą starosty można sobie ten postępek wytłómaczyć. Prawdopodobnie wróg Sióstr Miłosierdzia, hofrat br. Erggelet, sprowadził całą tą transakcyę lub przynajmniej ośmielił podwładnego do przekroczenia tak wyraźnego rozkazu cesarskiego. Siostry niebawem przeniosły się do klasztoru pokapucyńskiego, choć przebudowa przyprawiła je o ogromne kłopoty z rządem, a br. Erggelet nie szczędził im nagany a nawet najostrzejszych zarzutów i niecnych oszczerstw. Ledwie jedna sprawa adaptacyi budynków przeminęła, wypłynęła znowu na wierzch druga sprawa kłopotliwa, t. j. walka z rusinami o posiadanie kościoła. Zaraz pierwsza przełożona na kilka miesięcy przed przeniesieniem się wnosi protest do rządu dnia 24. lipca 1800 r. przeciw nieprawnemu zajęciu

kościoła przez rusinów; domaga się, żeby jej przynajmniej oddano kościół pokapucyński, bo dom Sióstr miał wówczas 90 chorych kobiet i mężczyzn, a nadto 24 sierot. Mała kapliczka w starym domu nie mogła więc wszystkich pomieścić. Trudność jednakże była dlatego, że w Maryampolu był wogóle tylko ten jeden kościół pokapucyński, skoro go zaś — wbrew dekretowi cesarskiemu — rusinom oddano, więc go teraz rząd nie chciał odbierać. Gubernator szukał jednak sposobu, żeby był wilk syty i koza cała — i dlatego nawiązał układy z konsystorzem gr.-kat., wskutek których pleban gr.-kat. w Maryampolu otrzymał polecenie, żeby zakrystyi odstąpił na wspólny użytek. Urząd powiatowy w Stanisławowie zawiadomił Siostry o tem rozporządzeniu, ale nie wiemy, czy z tej łaski korzystać mogły i chciały. Wogóle hr. Gaisruck, gubernator Galicyi, z całą tą sprawą zwłóczył i unikał jej rozstrzygnięcia i tak sprawa ta do dziś dnia jest niezałatwioną z największą szkodą dla samego kościoła, którego żadna strona, nie będąc pewną posiadania, naprawiać nie chce.

W niemniej uciążliwych warunkach znajdował się dom Sióstr Miłosierdzia w Rozdole. I tu w 1786. r. na wyraźny rozkaz cesarza Józefa II. przeniesiono Siostry do klasztoru OO. Karmelitów; ich samych zrazu zniesiono, lecz w końcu z powodu obsługi duchownej parafii zostawiono i pomieszczono w domu Sióstr Miłosierdzia. W Rozdole poprawił rząd stosunkowo dość prędko klasztor Karmelitów i całe położenie Sióstr polepszyło się nieco w r. 1823. przez zapis hr. Ludwiki Lanckorońskiej. Natłok nędzy, dla której w ówczesnej Galicyi domy Sióstr Miłosierdzia były jedynym przytułkiem, był tak wielkim, że ciągłego kołatania do rządu o pomoc nie można nazwać natręctwem, lecz konieczną potrzebą.

Obok tych dawnych domów Sióstr Miłosierdzia rząd umieścił je jeszcze Zamościu i w Przeworsku. Z pierwszego miejsca ustąpiły w 1812. r. przeniesione do Szczebrzeszyna, gdzie pielęgnowały chorych do 1883. r., t. j. do zniesienia

ich przez rząd rosyjski. W Przeworsku osiadły w 1784. r., skąd miały się przenieść do Rzeszowa. Chorych miały tu 12 a w szkole uczyły 25—30 dziewcząt. O domach w Moszczanach i Nowosiołkach zachodzi tylko jedna wzmianka w aktach, że oba te domy nie potrzebują wsparcia, bo są dostatecznie zaopatrzone.

Rząd uznając pożyteczność Sióstr Miłosierdzia, projektował nowe domy w Przemyślu, Nowym Sączu, Zebrzydowicach i w kilku innych miastach. Lecz brak powołań do Sióstr stał temu na przeszkodzie; epoka konkordatowa, nowy rozkwit życia kościelnego, miały dopiero temu zaradzić i sprowadzić obsadzenie szpitali miejskich po Galicyi. Wszystkich Sióstr było wtedy zaledwie 34 i temu brakowi Szarytek zawdzięczają też Bonifratrzy w Zebrzydowicach swoje ocalenie. Jednostronna polityka rządu chciała w jednem miejscu wynagrodzić to, co w drugiem zniszczyła. Z całej tej walki wyniosły Siostry tę korzyść, że znalazły się w posiadaniu starych, wygodniejszych budynków klasztornych, gdzie mogły lepiej spełniać obowiązki swego powołania.

Oto krótki szkic Józefinizmu w stosunku tylko do jednego Zgromadzenia. Zaiste, takie pęta i więzy, narzucone całemu Kościołowi, powstrzymały jego błogą dla ludów działalność. Życie Kościoła zamarło, liberalizm jak chwast zaczął się bujnie krzewić, zimna rutyna zapanowała nad wszystkiem, a duch Chrystusowy uleciał z tego całego aparatu rządowego. Mimo tych ograniczeń, mimo stagnacyi ogólnej, w jaką popadło życie kościelne w Austryi i Galicyi, Siostry Miłosierdzia spełniły swoje zadanie; w ich działalności, nawet wróg nie mógł znaleźć nagany i musiał się ugiąć przed tym ogromem poświęcenia i bezinteresownej pracy dla dobra cierpiącej ludzkości. Szczytne obowiązki ich powołania obroniły je od prześladowania i zniesienia i one to i nadal będą ich obroną przed wszelkiego rodzaju pociskami i prześladowaniami.

X. Jan Rzymełka.

KRONIKA.

Chiny. — *Cze-Li* Wschodnie. Działalność misyjna naszego Zgromadzenia w Chinach znajduje uznanie nie tylko w sferach katolickich, ale nawet u innowierców. Oto w grudniu zeszłego roku czasopismo holenderskie *Telegraf* zamieściło na swych łamach sprawozdanie protestanckiego korespondenta z wizyty u wikaryusza apostolskiego Wschodniego Czeli, Mgra Franciszka Geurts.

Msgr. Geurts i jego współpracownicy są pochodzenia holenderskiego, stąd łatwo wytłumaczyć ów serdeczny ton, w jakim korespondent — również Holenderczyk — pisze o swoich rodakach. Chwali pogodę ich dusz, uprzejmość i prostotę w obejściu. „Ani śladu u nich“ — są słowa korespondenta — „owej melancholii purytańskiej, która ciągle wyrzeka na zepsucie świata; owszem, umieją oni ocenić i uznać to, co jest dobrego na świecie i dążą wytrwale do urzeczywistnienia swych ideałów“. Żyją niemal w nędzy, pomieszkania ich ubogie, nawet w domu Bożym brak przepychu i wystawności. Zato przyjemne wrażenie sprawiły na dziennikarzu czystość i ochędóstwo; nic dziwnego, czystość bowiem w mieszkaniu to narodowa cnota Holendrów.

Godność biskupią piastuje Msgr. Geurts od r. 1900. W r. 1899. rozdzielono wikaryat apostolski Pekinu na dwa okręgi misyjne: dotychczasowy wikaryat Pekinu, i nowy wikaryat Wschodniego Czeli z rezydencyą w Jung-Ping-Fu. Przeprowadzono taki podział misyjnego terytoryum dla wielkiej liczby chrześcijan, która w przeciągu 9 lat (1890—1899.)

wzrosła z 35.000 do 47.000 *). Zarząd nowego wikaryatu objął Msgr. Geurts, otrzymawszy wprzód sakrę biskupią z rąk arcybiskupa Utrechtu.

Przekonano się wnet, jak gorliwego i energicznego zwierzchnika otrzymał nowy wikaryat. W r. 1901. było w Czeli 2.800 chrześcijan, dziś jest ich tam 5.000, a dzieło ich nawrócenia przypadło na czas wielkiego prześladowania chrześcijan przez bokserów. Z pomiędzy wiernych w Czeli 116 chrześcijan poniosło okrutną śmierć dla Chrystusa, a jedenaście kobiet i dzieci żywcem zakopali powstańcy. Sprawdzają się zatem jeszcze i dziś słowa Tertuliana: „Krew męczenników, nasieniem chrześcijan".

Czekiang. — W czasopiśmie *Les missions catholiques* z grudnia 1905 r., zamieścił konfrater ks. Aroud, sprawozdanie ze swej działalności misyjnej w okolicach Wenczu. Objeżdżał przez 3 miesiące powierzony sobie wikaryat i przekonał się, że postępy katolicyzmu w Chinach zaczyna paraliżować nowy nieprzyjaciel: sekta Metodystów. W walce z nimi daje się odczuwać brak kapłanów, w jednej n. p. miejscowości 500 katechumenów nie ma ani katechisty ani szkoły; gdzieindziej znowu sekciarze wystawili aż 50 kościołów, podczas gdy wierni zbierać się mogą na służbę Bożą w jednej tylko kaplicy. Mimo to praca misyjna jest dość wydatna, jak tego dowodzi wzrost liczby chrześcijan z 1.500 do 5.000.

Jerozolima. — Oddanie nowego hospicyum pod zarząd konfratrów niemieckiej prowincyi. Podczas pobytu tegorocznej pielgrzymki katolików niemieckich w Jerozolimie, oddano zbudowane świeżo hospicyum pod zarząd naszego konfratra ks. Schmidta, którego także energii przypisać należy, że kościół Matki Boskiej i klasztor O. O. Benedyktynów na górze Syonu

*) Wikaryat apostolski Pekinu liczył dnia 1. lipca 1905. r. 74.000 chrześcijan.

są już niemal na ukończeniu. Pięćdziesiąt lat wstecz nie mieli Niemcy w Jerozolimie żadnego punktu oparcia dla swych pielgrzymów, a pieniądze, wysyłane przez Tow. św. Grobu, dostawały się w obce ręce. Dopiero w r. 1880. zorganizowało się za inicyatywą radcy Jansena t. zw. Stowarzyszenie Ziemi św., którego staraniem powstała w Jerozolimie najprzód szkółka dla dziewcząt. Nowy okres dla katolików niemieckich rozpoczął się tu od r. 1885., gdy Stowarzyszenie złożyło kierownictwo swych interesów w sprężystą i pewną rękę ks. Schmidta. To też oddanie hospicyum pod zarząd naszych konfratrów zamieniło się w akt hołdu dla ich sędziwego, zasłużonego superyora. W przystrojonym w narodowe barwy, obszernym refektarzu wykończonego już budynku zjawili się, nie licząc pielgrzymów, miejscowy sufragan Mgr. Piccardo, ks. ks. Franciszkanie, Dominikanie i inni. Ze słowami uznania i podzięki zwrócił się do ks. Schmidta niemiecki konsul, poczem w dłuższej mowie skreślił obraz jego zachodów około dobra katolików w Ziemi św., wreszcie w imieniu Stowarzyszenia, specyalnie jego prezesa, arcybiskupa kolońskiego, ks. Fischera, oddał hospicyum pod zarząd naszych niemieckich konfratrów. Resztę uroczystości wypełniły pobożne pieśni na głosy, wykonane przez pielgrzymów, referat ich przewodnika, przedstawiający genezę hospicyum, wreszcie okrzyk na cześć papieża i cesarza; papież nadesłał telegraficznie swoje błogosławieństwo, cesarz niemiecki „Szczęść Boże". Jako trwały pomnik tegorocznej pielgrzymki ma być dołączone jeszcze jedno skrzydło do obecnego budynku.

Rumunia. — Prośba księcia Włodzimierza Ghiki o założenie domu S. S. Miłosierdzia. Francuskie *Annales* umieściły w styczniowym zeszycie b. r. list rumuńskiego księcia Ghiki do N. O. Generała, zawierający prośbę o Siostry Miłosierdzia. Podajemy go w streszczonem tłómaczeniu: „Rumunię zamieszkuje obecnie 150.000 katolików, w samej stolicy, Bukareszcie, naliczono ich 30.000 podczas spisu ludności w r. 1899. W żadnej z 2 dyecezyi (Bukareszt i Jassy) niema dotychczas

żadnego Zgromadzenia, któreby się zajęło biednymi w imię miłości bliźniego, która wlewa prawdziwe życie Chrystusowe w organizm Kościoła. Wielka akcya dobroczynna Kościoła katolickiego jest całkiem nieznaną u 5,000.000 innowierczych Rumunów, wśród których żyją nasi współwyznawcy. Nieliczni tutejsi kapłani, zaabsorbowani licznemi zajęciami, nie stykają się osobiście z opłakaną nędzą swych owieczek, a już wcale nic nie robią dla schizmatyków, stanowiących większość ludności, a przecież jest tu grunt dla Kościoła daleko podatniejszy niż gdziekolwiek indziej na Wschodzie, zwłascza, że Rumunów wiąże z Zachodem romańskie pochodzenie i cywilizacya. — Twój, Najczcigodniejszy Ojcze, poprzednik, ks. Boré w liście z roku 1848., wykazał całemu światu katolickiemu, że Rumunia może stać się centrum propagandy katolickiej na Wschodzie. Głos ten pozostał bez echa. Mimo to wszystkie czynniki zapowiadają w Rumunii nowy tryumf Kościoła, ale brak tu jeszcze głębokiego wpływu miłosierdzia chrześcijańskiego, reprezentowanego przez osoby, poświęcające się w zupełności jego idei. Brak ten dotkliwy trzeba czemprędzej wypełnić i dlatego proszę Cię, Przewielebny Ojcze, o skromną fundacyę. Na początek byłoby to jakby Betleem, jakby skromna szopka — zawiązek apteki dla ubogich i 3 Siostry Miłosierdzia. Chciałbym ten zakład otworzyć około Wielkanocy, tymczasem zaś składam ten zamiar w ręce Opatrzności i pod opiekę Matki Boskiej, której chcę całe dzieło poświęcić".

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kraków-Kleparz. — Na widok coraz bardziej rozszerzającego się pola pracy coraz żywiej powtarzały usta i serca słowa ostatniej naszej modlitwy wieczornej: „żniwo wielkie a robotników mało", dodawały prośbę, żeby „Pan żniwa" pomnożył liczbę robotników. Zgotował nam istotnie P. Bóg radość w dniu 21. stycznia, kiedy w stradomskim kościele 14 naszych dyakonów otrzymało święcenia kapłańskie z rąk N. ks. biskupa Nowaka. Z nowo wyświęconych ks. ks. kon-

fratrów przeznaczono do domu centralnego ks. Krausego, ks. Sosnowskiego i ks. Witaszka, na Stradom ks. Gintrowskiego, ks. Michalskiego Karola i ks. Wrońskiego, na Nową Wieś ks. Pisarka, do Witkowa wyjechał ks. Ferdyn, do Kaczyki ks. Rybka i ks. Wochowski. Ks. Słupina pomaga ks. Binkowi w zakładzie im ks. Siemaszki, gdzie liczba chłopców wzrosła do 119, ks. Mierzejewski przeznaczony do Tarnowa.

Otrzymaliśmy więc pomoc wcale znaczną, ale Ameryka zdawała się wołać na nas słowami Chr. P.: „Podnieście oczy wasze, a przypatrzcie się krainom, że białe są ku żniwu". Już 15. lutego żegnaliśmy 3 konfratrów: ks. Dyllę, ks. Hugona Króla i ks. Kołodzieja, odjeżdżających do Ameryki Północnej na pomoc tamtejszym konfratrom, którzy się już uginali pod brzemieniem wytężonej pracy. Dnia 17. lutego wsiedli na okręt „Pensylwania" i stanąwszy na miejscu przeznaczenia, rozpoczęli natychmiast prace misyjne w parafiach Polonii północno-amerykańskiej. Niebawem miało jeszcze 3 konfratrów: ks. Kominek, ks. Kandora i neopresbyter ks. Dejewski wyruszyć do naszych domów w Paranie.

We wszystkich 4 dyecezyach galicyjskich pracowali ubiegłego kwartału ks. ks. konfratrzy naszego domu, dając 25 misyi i rekolekcyi. W dyecezyi tarnowskiej odbyły się misye w Sobolowie, Książnicach, Królówce i w Zgórsku, z dyecezyi przemyskiej zaproszono nas do Laszek. Wreszcie w marcu wyjechał ks. Mazurkiewicz z rekolekcyami niemieckiemi do Bukowiny. Kraj ten słusznie nazywają „Małą Austryą", ponieważ ludność jego składa się z różnych narodowości i wyznań religijnych. Przedewszystkiem przeważa tutaj żywioł rumuński i protestancki, wskutek tego katolicy a zwłaszcza niemcy łatwo się przejmują błędnemi zasadami a stąd wyradza się w ich sercach obojętność dla Kościoła prawdziwego. Korzystając przeto z czasu postnego, życzyli sobie księża tamtejsi, żeby lud obudzić trochę z tego uśpienia religijnego i przygotować do spowiedzi wielkanocnej. Od 21.—28. marca trwały rekol. w Gurahumorze, miasteczku, liczącem około 6.000 mieszkańców. W Gurahumorze znajdują się 4 kościoły: rzym.-

katolicki, grecko-szyzmatycki czyli rumuński, protestancki i ormiańsko-monofizycki. Ogółem wyspowiadało się w czasie rekolekcyi 1.400 mężczyzn i kobiet. Od 31. marca do 3. kwietnia odbyły się rekol. w Satulmare, małej wiosce, liczącej około 1200 mieszkańców a z nich protestantów 900.

Kościoły są tutaj dwa: rzym.-katolicki i protestancki. Satulmare stanowi filię kościoła w Radowcach, skąd przybywa co drugą niedzielę ksiądz ze Mszą św. i kazaniem. Praca szła tutaj dość ciężko, ponieważ $^3/_4$ mieszkańców składa się z protestantów, którzy używają wszelkich środków, aby niemców katol. przeciągnąć na swoją stronę. Stąd też widzimy wśród katolików tamtejszych małżeństwa mieszane i zanik wszelkiego poczucia katolickiego. Słowo Boże nie padło całkowicie na złą rolę, owszem wyspowiadało się przeszło 200 dusz i przystąpiło do Komunii św. Od 4.—6. kwietnia odbyła się w Radowcach renowacya misyi, którą mieli tam zeszłego roku ks. Rossmann i ks. Kołodziej z Kaczyki. Lud licznie się stawił. Wyspowiadało się ogółem 1200 dusz.

Bardzo poważnie wypadły rekolekcye ludowe w naszym kościółku kleparskim, wzięło bowiem w nich udział 2.000 osób ze wszystkich dzielnic polskich. N. ks. biskup Nowak 2 razy celebrował Mszę św. na konkluzyę, zachęcał w podniosłych słowach do wytrwałości, udzielił wreszcie Sakramentu bierzmowania.

Na szczególniejszą uwagę zasługują rekolekcye, dane przez 4 naszych ks. ks. konfratrów (ks. Sokołowicz, ks. Rossmann, ks. Kandora, ks. Szymbor) w 2 parafiach krakowskich. Już od dawna odzywały się głosy, że się urządza rekolekcye dla intelligencyi i młodzieży szkolnej, nawet dla obcych, podczas gdy zapomniany miejscowy robotnik idzie w szeregi socyalizmu. Skoro dzisiaj wrogowie religii robią nadzwyczajne wysiłki, by słowem i pismem wydrzeć z duszy ludu wiarę i miłość do Kościoła, z drugiej strony trzeba również nadzwyczajnych nawet środków, żeby naprawić i zagoić to, co inni zepsuli, rozdarli. Kościół wprawdzie nie

zginie, lecz giną jednostki, stąd też równie pięknie jak trafnie powiedział N. ks. arbkp. Bilczewski w swym liście pasterskim z 1903. r.: „Skała Piotrowa, Kościół, jest nie na to, aby spokojnie na niej spać, albo się za nią ukryć, jeno, aby w niej mieć silny grunt pod nogami do pracy, do rozwinięcia sił, do godziwej walki“. Wypróbowaną i nigdy nie przestarzałą bronią w tej godziwej walce z duchem przewrotu okazały się i tym razem rekolekcye o charakterze misyjnym. Cały Kraków podzielono na 5 okręgów, wyznaczając dla każdego specyalny kościół. W kościele Najśw. Panny Maryi i św. Mikołaja pracowali OO. Jezuici, w kościele Bożego Ciała OO. Redemptoryści, na Piasku wreszcie i w kościele św. Floryana nasze Zgromadzenie. Wielkie a może największe tryumfy święcił Jezus w sercach tych biedaków, co się gromamadzili w kościele na Piasku. Wystarczy zaznaczyć, że około 6.000 wiernych przystąpiło tam podczas tych 8-dniowych ćwiczeń św. do sakramentu pokuty, przeważali zaś robotnicy krakowscy i podmiejscy. W cichości przed Bogiem dokonało się niejedno nawrócenie, przejście z pod sztandaru czerwonego pod sztandar Chrystusa. Miłą niespodziankę sprawili nam parafianie św. Floryana, zapełniając niemal szczelnie swój kościół.

Parana. — *Thomaz-Coelho i Prudentopolis.* W Paranie coraz pomyślniej rozwija się praca naszej prowincyi: do 2 domów w Thomaz-Coelho i Lucenie przybywa teraz trzeci w Prudentopolis, olbrzymiej kolonii przy głównej drodze do sąsiedniego stanu St. Paulo. Z powodu korzystnego położenia panuje tam dość ożywiony ruch handlowy, chociaż niedawna osada jeszcze się dobrze nie zagospodarowała. Przeważają wśród kolonistów Rusini, bo liczą 800 rodzin, podczas gdy polskich jest 470, niemieckich-katolickich 15, brazylijskich do 200. Rad Rusinami pracuje 3 ks. ks. Bazylianów, a ponieważ od kwietnia 1905. r. nie mieli Polacy swego kapłana, więc niejednego znęcił ruski obrządek. Dotychczas był jeden wspólny kościół dla Polaków, Niemców

i Brazylianów, obecnie jednak rozpoczęli polscy koloniści budowę własnej świątyni, nie chcąc się narażać na zatargi. W ostatnim czasie pracował w Prudentopolis po dwakroć przez kilka tygodni ks. Chylaszek, pomimo że w Thomaz-Coelho było pracy nawet dla dwóch poddostatkiem; ks. Bayer musiał więc nieraz obsługiwać 3 kościoły: Matki Boskiej, św. Michała i na Krystynie, odległej 20 km. Suche cyfry może najwymowniej przedstawią 2-letnią działalność naszych konfratrów z Thomaz-Coelho.

W r. 1904. wysłuchano w Thomaz-Coelho i na ekskursyach przeszło 4.000 spowiedzi i wygłoszono 130 kazań; jeżeli do tego dodamy 110 kazań misyjnych i 11.500 spowiedzi, to otrzymamy liczbę bardzo wysoką, uwzględniając szerokie przestrzenie, które trzeba było konno przebywać. Do pierwszej spowiedzi i Komunii św. przygotowano 124 dzieci.

W r. 1905. wygłoszono w parafii 131 kazań i wysłuchano do 5.000 spowiedzi, kazań misyjnych było 214, spowiedzi około 8.500. Nie mając obszerniejszych sprawozdań ze wszystkich misyi w Paranie, podajemy tu tylko ich statystykę.

W r. 1904. dano misye:

przez 5 dni w Rio-dos Patos (ks. Dylla), wygłoszono kazań 10, wysłuchano spowiedzi 200;

przez 5 dni w S. Matheus (ks. Dylla), wygł. kazań 10, wysł. spowiedzi 650;

przez 5 dni w Agua Branka (ks. Dylla), wygł. kazań 10, wysł. spowiedzi 350;

przez 14 dni w Rio-Claro (ks. ks. Dylla i Chylaszek), wygł. kazań 28, wysł. spowiedzi 2.000;

przez 7 dni w Ponta-Grossa (ks. ks. Dylla i Chylaszek), wygł. kazań 14, wysł. spowiedzi 1.000;

przez 14 dni w Lucenie (ks. ks. Dylla i Chylaszek), wygł. kazań 28, wysł. spowiedzi 2.000;

przez 3 dni w Abranches (ks. ks. Bayer i Chylaszek), wygł. kazań 7, wysł. spowiedzi 1.000.

W r. 1905:

przez 7 dni na Marysi (ks. ks. Bayer i Chylaszek), wygł. kazań 14, wysł. spowiedzi 750;

przez 7 dni na Krystynie (ks. ks. Bayer i Chylaszek), wygł. kazań 14, wysł. spowiedzi 688;

przez 8 dni u św. Michała i u Matki Boskiej (ks. ks. Bayer i Chylaszek), wygł. kazań 20, wysł. spowiedzi 1.640;

przez 7 dni w Kurytybie (ks. ks. Chylaszek i Dylla), wygł. kazań 14, wysł. spowiedzi 1.400;

przez 3 dni w Kontendzie (ks. ks. Bayer i Chylaszek), wygł. kazań 6, wysł. spowiedzi 130;

przez 7 dni w Orleansie (ks. ks. Chylaszek i Mięsopust), wygł. kazań 15, wysł. spowiedzi 1300.

Obraz zabiegów nad rozwojem szkolnictwa i oświaty ludowej kreśli nam list ks. superyora Bayera, który tu przytaczamy w wyjątkach:

Na Thomaz-Coelho stanęły za naszem staraniem 3 szkoły w 3 dogodnych punktach, tak, że wszyscy przy dobrej woli korzystać z nich mogą, pierwsza jest na plebanii przy kościele M. Boskiej. Nauczycielem jest Piotr Fila, organista, który przedtem przez 7 lat prowadził szkołę brazylijską. Dzieci uczęszcza mniej więcej 30. Druga na Rosach Starych, gdzie nauczycielem jest Józef Zieliński; dzieci uczęszczających 46. Trzecia na Rosach Zakupnych. Nauczycielem jest Witold Żuławski. Dzieci uczęszcza 42.

Te właśnie 3 szkoły wizytował ze mną konsul Okęcki. Za dziecko rodzice płacą miesięcznie jednego mila; gdy nastąpi czas wielkiej pracy w polu, frekwencya dzieci się żmniejsza, wtedy trzeba nauczycieli prywatnymi środkami wspierać i robimy to z całą przyjemnością. Mamy jeszcze 2 mniejsze szkółki, w jednej z nich uczy się 18 dziewcząt, w drugiej 15 dzieci.

Oprócz tego na Thomaz-Coelho blizko naszej rezydencyi jest szkoła rządowa, ale nauczycielem jest Polak, i dzieci w tej części kolonii korzystają dużo, tem więcej, że nauka w tej jednej szkole jest bezpłatna. Ale chodzą do tej szkoły

rządowej tylko chłopcy. O dziewczętach pomyślałem i przez rok prowadziłem sam szkołę dla nich, jednak z tej pracy musiałem zrezygnować. Natomiast żona nauczyciela rządowego urządziła prywatną uczelnię dla dziewcząt; zapisało się ich 20, więc i ten brak usunięty do czasu. Jeszcze w jednym punkcie bardzo od nas odległym jest szkółka prywatna polska; chodzi do niej od 15—20 dzieci.

Na sąsiedniej kolonii Krystynie, do której dojeżdżamy raz na miesiąc z nabożeństwami, również za naszą inicyatywą otworzyły się dwie szkoły. Na Krystynie czasowo znajduje się w lokalu prywatnym, ale już się stawia nowy *ad hoc* budynek. Dzieci tutaj zapisało się 56.

Druga szkoła w kolonii Lagoa Suja, należącej do Krystyny, już na ukończeniu, poświęcenie zapowiedziane na 8 maja. Tam dzieci około 50. Dwie te szkoły zwiedziliśmy również z p. konsulem.

Dla zachęty pomyślało się o cukierkach (dosach), pierniczkach, obrazkach rozumie się naszego nakładu, żeby tylko nawet takimi półśrodkami zachęcać maleństwo do szkoły.

Egzaminów na końcu roku się pilnuje, i rozdajemy nagrody — wszystko *ad majorem Dei gloriam.*

Niezadługo bo już w maju, jedzie p. konsul Okęcki za urlopem ośmiomiesięcznym do Europy. Was zapewne nawiedzi, to będzie miał sposobność wypowiedzieć wrażenie, jakie odniósł w czasie wizytacyi szkół i odnośnie do naszego zajmowania się szkołami. Przed naszym przyjazdem była tylko jedna szkółka prywatna a żaden z kapłanów się nią nie interesował.

Chwała Bogu, przez te półtrzecia roku trochę się zrobiło. Lud przy swej pracowitości od misyi naszej podnosi się materyalnie i moralnie. Po uporządkowaniu kościoła i plebanii, która była w ruderze, po zbudowaniu nowej dzwonnicy, nowych dzwonów, nowych parkanów żelaznych około kościoła, nowych parkanów około cmentarza, wszystko odmieniło się tak, iż trudno poznać, nam zaś coraz przyjemniej na Thomaz-Coelho.

Dalszy plan naszej działalności, to założenie biblioteki parafialnej i czytelni, gdzieby można lud starszy i młodzież oświecić, rozruszać i zaciekawić odczytami i rozprawami. Zawcześnie jeszcze tutaj zakładać np. kasy Raiffeisenowskie, lud pierwej trzeba wyuczyć myśleć, zająć się sprawami społecznemi; od razu *sic volo sic iubeo* nie da się tu zastosować. Z czasem mam nadzieję i tego rodzaju dzieło da się stworzyć.

Co do Kółek rolniczych, choć niektórzy są za tem, jednak i pod tym względem nie da się tu nic zrobić. Proszę pamiętać, że żydów tu nie ma, aby im konkurencyę wypowiedzieć. Prawda, dwóch się świeżo usadowiło, ale kupców Polaków mamy kilkunastu. Utworzyć Kółko rolnicze znaczyłoby głównie rywalizować z tymi kupcami polskimi; tychby się od razu zraziło i wszystkich ich przyjacieli itd. Więc jak jestem, za tworzeniem Kółek rolniczych na koloniach, gdzie niema kupców polskich, tylko są kupcy włoscy, niemieccy i brazylijscy, tak u nas na kolonii już dawno dobrze zagospodarowanej — to zbyteczne, tem więcej, że Kółka rolnicze są dobre na stosunki galicyjskie, tworzą się one po wsiach, gdzie ludność zbita, dostęp do niego łatwy dla wszystkich; tutaj jednak ludność rozrzucona, bo każdy mieszka na swoim gruncie; jedno Kółko nie miałoby widoków rozwoju, trzebaby je tworzyć na każdym głównym gościńcu.

Nosiłem się także z innym zamiarem. Skoro Siostry Miłosierdzia są na Abranches, teraz zjeżdżają zakonnice Rodziny Maryi do Kurytyby, Orleansu i Prudentopolis, trzebaby i u nas o tem pomyśleć. Chciałem się tem zająć i obmyśliłem plan taki. Kolonia miała się zebrać na zwrot kosztów podróży, my zaś mieliśmy dom za jakie 4 tysiące milreisów wybudować na nasze imię. W dwóch latach dom taki mógłby być wybudowany, blizko naszej rezydencyi. Żeby od ludzi wydostać pieniądze na dom dla Sióstr — to byłoby niewykonalne z tego powodu, że już dużo wyłożyli przez czas naszego pobytu na potrzeby parafialne.

Są w zapasie i inne plany, ale wykonanie zależy od tego, czy będziemy mieli trzeciego księdza czy nie; bo jeden ksiądz ma dosyć pracy przy posłudze duchownej parafian. Dobrzeby też było, aby czy to Przew. ks. Wizytator, czy z ramienia jego ktoś inny, po trzech latach istnienia domu na Thomas Coelho a dwóch na Lucenie, zjechał do nas z wizytacyą. Ks. Wizytator z Rio de Janeiro już w maju ma drugi raz zjechać do Kurytyby. Taka wizytacya poza temi korzyściami, jakie reguła przewiduje, miałaby jeszcze lokalne: słuchać tu wciąż, że jakiś wizytator, lub lustrator to franciszkański to *Verbi Divini* zjechał, a o nas głucho.

Abranches. — Jako uzupełnienie powyższych wiadomości o pracy w Paranie podajemy następujący list Siostry Miłosierdzia, Suchoświat, z Abranches:

Abranches 16-go lutego 1906 r.

Łaska Pana naszego niechaj będzie zawsze z nami.

Tutaj wszędzie pomiędzy Polakami naszymi daje się uczuć niezmierny brak szkół wogóle, a szczególniej szkół stałych, systematycznych, dobrze prowadzonych. Koloniści sami poznają ten brak w miarę tego, jak starsi ludzie wymierają, a podrasta młodzież nieraz w zupełnej nieświadomości i ciemnocie; to też wszelkiemi siłami starają się o podniesienie oświaty między sobą — ostatni grosz nieraz dają na wybudowanie szkoły jakiej takiej i wszędzie proszą o Siostry, któreby się zajęły ich młodem pokoleniem — cóż, kiedy te pragnienia jedną zawsze nieprzezwyciężoną napotykają przeszkodę t. j. brak środków, by sprowadzić Siostry. Nasza szkoła w Abranches jest jedną z największych szkół polskich w całej Paranie; w przeszłym roku uczęszczało stale 120 dzieci na naukę, obecnie mamy 130; oprócz tego udziela jedna z Sióstr 2 razy w tygodniu po południu robót ręcznych starszym dziewczynkom, a ja po 2—3 godziny dziennie uczę dzieci niemieckie, po największej części ewangelickie.

Obecnie mam ich 30. W niedziele i święta przychodzą chłopcy i dziewczęta starsze na naukę czytania i pisania. W ostatnich dniach listopada odbył się pierwszy nasz popis, wypadek pewnie najważniejszy w życiu naszych dzieci, to też już kilka dni przedtem były one wszystkie w jakimś nastroju poważnym, świątecznym, a i dla nas Sióstr był to dzień oczekiwania i radości, w którym miałyśmy nagrodzić kochane dzieci nasze i ucieszyć ich poczciwych rodziców. Dwa dni przedtem zwolniłyśmy dzieci z lekcyi, raz, żeby uświetnić jeszcze więcej dzień popisu, a także, żeby poczynić różne małe dla nich przygotowania. Wiele będzie ludzi? może nie będą śmieli przyjść? pytałyśmy jedna drugiej, tymczasem w sam dzień ludu naokoło szkoły niby na odpuście w Częstochowie. Rodzice, krewni, znajomi, ciekawi — wszystko to spieszyło do Sióstr, „żeby zobaczyć, jak też to te Siostrzyczki będą egzaminować“. Egzamin trwał cztery godziny tylko z tą przerwą, że pierwsza klasa wyszła o 11-tej, aby miejsca ustąpić młodszym, a ludzie w największem milczeniu stali, słuchając odpowiedzi dzieci. Ojcowie i matki z dumą przypatrywali się swoim Józkom i Marynkom, które z rozpromienioną twarzą i iskrzącemi oczkami jakby w tęczę patrzyły w Siostrę, czekając, rychło się też z czem będą mogły popisać. „A widzisz jeno, to ta moja“, szeptała jedna kumoszka do drugiej — „a patrzcie tylko, ta mój Franek teraz gada“, mówi druga — „ach Boże! Boże! toć to czyste cuda!“ woła po chwili trzecia — i tak te szczere serca poczciwego ludu naszego z całą prostotą wypowiadały swe zadowolenie i wdzięczność. Przewodniczącym egzaminu był konsul austryacki, pan Okęcki; obecnymi byli jeszcze nasz kochany opiekun, czcigodny ks. prob. Niebieszczański, ks. Bayer, ks. Miętus z Orleansu, ks. Trzebiatowski z Kurytyby i niezmordowany w pracy dla ludu naszego p. Bielecki. Bliższych szczegółów o egzaminie nie będę podawać, gdyż Ojcowie Czcigodni czytają pewnie *Gazetę Polską* z Brazylii, która go opisywała. Najwięcej do serca przypadło jednak wszystkim przedstawienie popołudniowe: „Dzieci polskie na obczyźnie wobec swej Ojczyzny“. Mały

ten teatrzyk urządziłyśmy na podwórzu; scena, zbudowana z ławek drugiej klasy, desek, stołów pożyczanych i krzeseł, była suto przybrana w najpiękniejszą zieleń i kwiaty, których nam ludzie nie tylko naznosili, ale nazwozili — i chorągiewki polskie bardzo były ładne. Najwyżej stała jedna ze starszych dziewczynek, przedstawiająca Polskę, ubrana w bieli i purpurze, na ręku miała kajdany, a w jednej trzymała chorągiew polską. Niżej ugrupowane dzieci mniejsze i większe przedstawiały cnoty różne, które jako piękne kwiaty wyrosły na obczyźnie dla Ojczyzny Polski. W białych sukienkach i przybrane w kwiatki, deklamowały odnośne wierszyki i śpiewały, w końcu zwracając się do obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, który wisiał nad Polską, zaśpiewały: „Matko! my dzieci tej polskiej ziemi“. Po przedstawieniu udali się wszyscy do kościoła, gdzie dzieci śpiewały litanię do Matki Boskiej, a ks. Proboszcz udzielił błogosławieństwa Najśw. Sakramentem. I tak dobry Pan Jezus dopomógł, że wszystko ładnie i zgodnie się odbyło, a ludzie zadowoleni odeszli do domów swoich. Wesoło i milutko było w kółku małej naszej rodzinki podczas świąt Bożego Narodzenia.

W wilię miałyśmy nieco pracy w kościele, przytem pościłyśmy sumiennie cały dzień, to też z prawdziwą radością zabierałyśmy się około czwartej do dawno oczekiwanej wilii, a po podzieleniu się opłatkiem zaczęłyśmy sprzątać ze stołu nieskończoną ilość potraw najrozmaitszych, które tylko kochana nasza Siostra Józefa zdołała usmażyć i uprażyć.

O północy odprawił ks. Proboszcz pasterkę, podczas której przyjęłyśmy Komunię św., łącząc się z całem drogiem Zgromadzeniem naszem; kościół przybrany był w drzewka piniorowe, podobne do naszych choinek i świeże najpiękniejsze kwiaty, a dzieci ładnie śpiewały wesołe kolendy. Nie umiem opisać, jak piękną miałyśmy noc gwiazdkową: natura, tutaj już tak cudownie piękna, jeszcze uroczyściej zdawała się być przybraną na przywitanie Zbawcy swojego. To niebo szafirowe, pełne ślicznych gwiazd nad tą cichą pogodną ziemią brazylijską, dziwnym pokojem i radością napełniło serca

nasze. Zdawało nam się, że aniołkowie śpiewają w powietrzu, jak kiedyś w Betleem: „Pokój wam“.

Obecnie znów wszystko idzie starym trybem, 15-go stycznia rozpoczęłyśmy naukę, mamy 130 dzieci, wszystkie z poblizkich kolonii. Dużo zgłaszało się rodzin, by przyjąć ich dzieci na stancyę, lecz musiałyśmy odmówić dla braku pomieszczenia. Trzebaby dom powiększyć; tymczasem stara się nasza Siostra, by na strychu zbić pokoik z desek, lecz i na to nie starczy. Ja mam ochotę na przedstawienie małego teatrzyku za bilety, może się przecież coś zbierze. Za szczęśliwy pomysł proszę jednak Siostry naszej o płot przed szkołą, tutaj bowiem wszelkie zwierzęta domowe t. j. krowy, konie, kozły etc. chodzą samopas, a już najwięcej ulubiły sobie miejsce przed moją szkołą. Uwzięły się chyba, żeby mnie ćwiczyć w cierpliwości — co chłopaka wyślę, żeby odpędził jedno to przyjdzie drugie, nie koń to krowa. W podwórzu posadził nam jeden człowieczek wina naokoło balkonu — takie było ładne. Powiadam do Siostry Starszej: „Chodźmy, przymocujemy wino do balkonu, bo zmarnieje“. Cośmy się nadrapały, namęczyły! ostatecznie było ładnie — aż Sr. Józefa chwaliła. Na drugi dzień zrana przyszedł kozieł i zjadł — ani jednego listka nie zostawił.

Przed kilku dniami widziałyśmy na podwórzu naszem jaszczura około 1 m. długiego — ogromne to i straszne jak krokodyl, lecz bardzo bojaźliwe — ucieka przed każdem większem zwierzątkiem.

Lato tu mamy obecnie, w południe takie upały, że oddychać trudno — wieczory zaś chłodne i przyjemne. Pełno robaczków świecących w powietrzu, a z poblizkich lasów słychać rzegotanie żab i krzyki najrozmaitszych zwierząt.

Często gdy nie tak prędko się ściemni, odprawiamy rekreacye wieczorne na balkonie. Tak tu ładnie, tak pięknie naokoło, pełno kwiecia i zieleni, a jednak myśl często wraca do Polski ukochanej i cały urok niknie na wspomnienie kraju rodzinnego.

Lucena. — Z powodu wyjazdu ks. Wyszyńskiego z Rio Vermelho w stanie St. Catharina do Ameryki Północnej, powierzono konfratrom z Luceny pieczę duchowną nad tamtejszymi Polakami. Dla informacyi o rodzaju tej pracy przytaczamy wybrane szczegóły z listu ks. Superyora Sołtysika: „Przed kilku tygodniami wróciłem ze stanu Rio Vermelho, kolonii polskiej, na której mieszka około 140 rodzin. Byłem tam blizko przez miesiąc, odprawiając kolendę. Kolonia ciągnie się 26 km. wzdłuż na przestrzeni, gdzie teren nagle się zniża i dlatego udaje się tam trzcina cukrowa, ryż, kawa, banany, ananasy i inne rośliny podzwrotnikowej strefy. Gorąco tam nieznośne, ludzie są dlatego bardzo anemiczni i bladzi. Chodziłem w kapeluszu i pod parasolem, a mimo to gorąco mi dokuczało jak w piekarni. Chodząc przez cały tydzień po kolendzie, nocowałem w domkach różnych kolonistów polskich, którzy mnie gościnnie przyjmowali pieczoną kurą, różnymi owocami i kawą, rosnącą tu na siakrze każdego kolonisty. Domki oddalone są od siebie $1/2$—1 km. i pobudowane na wzgórzach lub w głębokich parowach tak, iż do niektórych trudno nawet konno dojechać.

Bawiąc w Rio Vermelho, dowiedziałem się o staruszku, mającym 100 czy nawet więcej lat; nie chciał się spowiadać, mówiąc, że przed kilku laty był u niego podczas choroby ksiądz, który go wyspowiadał i namaścił olejem św. i to powinno mu wystarczyć aż do śmierci. Bojąc się, żeby po moim odjeździe na Lucenę nie umarł bez Sakramentów św., chciałem go namówić podczas kolendy do spowiedzi, lecz sprytny staruszek, domyślając się tego, zamknął domek i schował się z żoną w szopie, musiałem więc z niczem odejść. Dopiero gdy już kawał drogi ujechałem, wysunął siwą głowę ze szopy i dopiero teraz poznałem miejsce jego ukrycia. Dałem mu wtedy znać przez kościelnego, że jeżeli sam nie przyjdzie, to przyślę po niego swój wózek — to poskutkowało. Przestraszona jego żona przyszła do wendy w Rio Vermelho zapytać się, czy mąż będzie musiał zapłacić za wózek, gdy go przyśle ks. Misyonarz. Wendzista, Polak

zacny ale i przebiegły odpowiedział, że mąż będzie musiał zapłacić za wózek, jeżeli się jeszcze raz ukryje, jeżeli zaś pojedzie natychmiast, to ks. Misyonarz zapłaty domagać się nie będzie. Gdy się o tem dowiedział staruszek, zawyrokował, że jednak lepiej samemu pójść pieszo do kościoła i wyspowiadać się, aniżeli się dać obwozić po całej kolonii na wózku Misyonarza.

Po skończeniu kolendy pojechałem do chorego, mieszkającego 20 km. od kaplicy. Z początku jechałem na wozie, potem konno, wreszcie trzeba było nawet z konia zleść i przechodzić przez rzekę po przegniłych belkach i drzewach, wyrwanych przez wicher i rzuconych w koryto rzeki. W końcu pojechałem do 2 kolonistów dla ochrzczenia ich dzieci. Dzieci były wprawdzie ochrzczone przez jakąś starą babę, ale jak się przekonałem, nie dobrze, do kaplicy zaś dla długiej i przykrej drogi nie można było dzieci przynieść.

Przed ostatnim moim przyjazdem na Rio Vermelho umarła tam pewna kobieta bez Sakramentów św. Mąż klęczał przy łożu chorej i błagalnie wołał do Boga, by żona nie umarła bez Sakramentów św., ale do Luceny było 140 km. a 40 km. do St. Bento po księży niemieckich. Kolei jeszcze niema, a podróż wozem trwa kilka dni, bo drogi liche. Gdy byłem u niego z kolendą jeszcze się nie mógł uspokoić, pocieszyłem go jednak tem, że żona jego była pobożną i spowiadała się, gdy u nich bawiłem ostatnim razem. Bardzoby się tu przydał polski ksiądz, ale kolonia jest mała, więcby go było trudno utrzymać, do sąsiednich zaś parafii polskich jest bardzo daleko, nie wiadomo zatem jaki będzie los tych kolonistów.

Chełmno. — Ś. p. Siostra Wiktorya Klajner. Ciężką żałobą okrył Pan Bóg prowincyę chełmińską, powołując do siebie Siostrę Wiktoryę Klajner, która spełniając przez lat 38 w duchu św. Wincentego obowiązki Służebnej Domu sierót i chorych w Wolsztynie, posłużyć może za wzór dobrej Córki św. Wincentego dla młodszego pokolenia

Sióstr. W tej intencyi składamy na jej świeżej mogile skromną wiązankę wspomnień pośmiertnych, złożoną wprawdzie z drobnych, swojskich tylko kwiateczków codziennych cnót, ale tem milszych dla serca, bo łatwiej je naśladować, niż czyny wzniosłe, do których nie każdy powołany.

Ś. p. Siostra Wiktorya urodziła się 19. grudnia 1834. r. we Wilczkach pod Dębnem w Księstwie Poznańskiem z zacnej, bogobojnej rodziny. Pod okiem matki przejęła się wcześnie głęboką pobożnością i współczuciem dla cierpiących, które cechowały całe jej życie. Pierwsze nauki pobierała w domu rodzicielskim, a po śmierci matki umieścił ją ojciec wraz z młodszą siostrą Maryanną w pensyonacie Sióstr Szkolnych w Wrocławiu, gdzie ukończyła wykształcenie. Tam też niezawodnie dojrzało w sercach młodych panienek gorące pragnienie poświęcenia się na służbę ubogich i chorych, bo za powrotem do domu przedstawiły ojcu swój zamiar wstąpienia do postulatu Sióstr Miłosierdzia w Poznaniu. Długo opierał się temu, tłómaczył, że nie podołają obowiązkom tak trudnym, które znał dobrze; ulegając wreszcie niezmiennemu postanowieniu córek, pozwolił najpierw młodszej Maryannie zgłosić się do ówczesnej wizytatorki, Siostry Studzińskiej, z prośbą o przyjęcie do Zgromadzenia. — Siostra Wiktorya nie przestawała jednak modlić się z ufnością o spełnienie gorących swych pragnień; to też wkrótce i dla niej otwarła się furta szpitala Przemienienia Pańskiego w Poznaniu, gdzie rozpoczęła postulat 2. października 1858 r. Po odbyciu seminaryum w Domu Macierzystym wróciła do szpitala w Poznaniu. — Mało tam było wówczas Sióstr, a pracy wiele, więc dla gorliwej Siostry Wiktoryi nie zabrakło sposobności do ćwiczenia się w poświęceniu i innych cnotach. Jak znaczny postęp w nich uczyniła, jak wielkie zjednała sobie zaufanie przełożonych, dowodzi najlepiej okoliczność, że w dniu złożenia pierwszych ślubów św. powierzono jej urząd Służebnej z poleceniem niezwłocznego wyjazdu do Kościana dla założenia nowego domu. Wiadomość ta niespodziewana przeraziła tak bardzo młodą Siostrę, że

usłyszawszy ją, zemdlała; odzyskawszy jednak przytomność, po chwili wypoczynku rozpoczęła przygotowania do podróży. W Kościanie niełatwe czekało ją zadanie: zastała dom nieurządzony, brakowało w nim wszystkiego, nawet naczyń koniecznych do przyrządzenia skromnego posiłku dla towarzyszek. Ufna w pomoc Bożą nie upadła na duchu wśród tak licznych trudności. Gorliwie zabiera się do pracy około ubogich, odwiedza chorych po chatach, a widząc, że wielu troskliwszej potrzebuje opieki, postanowiła ją dla biedaków zapewnić w swoim domu. — Bóg błogosławił jej usiłowaniom, gdyż po dwóch latach miała już kilka łóżek urządzonych dla ukochanych chorych i dom zaopatrzony w potrzebne sprzęty. Wtem przełożeni odwołują ją z Kościana na Służebną domu sierót i chorych w Wolsztynie, dokąd przybywa 7. kwietnia 1867. r. Tam nowe, nieznane dotychczas napotyka trudności, bo zarząd domu spoczywa w ręku administracyi; nadchodzi czas prześladowań religijnych, tak zwana walka kulturna, a z nią częste, niespodziane rewizye domu chorych i sierót, ustawiczna obawa przed zamknięciem zakładu i przykrości rozliczne.

Do zarządu przypuszczono tylko osoby świeckie, o charakterach twardych, nieznające potrzeb domu; Siostra Klajner zjednała sobie jednak wszystkich swoją łagodnością i słodyczą, sama starała się o utrzymanie chorych i sierót, o fundusze na konieczne budowle; naprawiła i rozszerzyła budynki szpitalne, ulepszyła pomieszkanie sierót.

Ale Boski jej Oblubieniec nie miał jeszcze godnego przybytku, a wielka to boleść dla serca Siostry Wiktoryi, pałającego miłością Jezusa, utajonego w Najśw. Sakramencie; — nie przestaje więc ufać i modlić się gorąco, gdy niespodzianie Opatrzność zsyła dobrodzieja, składającego znaczne fundusze na wzniesienie okazałej kaplicy.

Z jakąż radością zabiera się do pracy, podejmuje zabiegi rozliczne, aby ten przybytek uczynić miłem i ozdobnem mieszkaniem dla Pana i Mistrza swego. Miłując Zgromadzenie i wszystko, co do niego się odnosi, stawia kaplicę pod we-

zwaniem Najświętszej Panny od Cudownego Medalu, a serce jej uczuciem niewysłowionego szczęścia przejęte, gdy w pamiętnym dniu objawienia tłumy pobożnego ludu przyjmują z rąk kapłana ten dar kosztowny Królowej Niebios.

Zawsze czynna, zajęta ustawicznie potrzebami sierót, ubogich i chorych, najczulszą otaczała ich miłością. Doszedłszy drogą głębokiej pokory do zupełnego zapomnienia o sobie, wylaną była na usługi wszystkich, to też spieszono do niej jak do matki po pomoc i radę; a każdy zadowolonym odchodził. Przejęta duchem św. powołania, zaczerpniętem w seminaryum, ożywiała nim najdrobniejsze czynności, przykładem utrzymywała wśród towarzyszek skrupulatne zachowywanie reguł św. i zwyczajów Zgromadzenia. W duchu wiary zapatrując się na przełożonych, otaczała ich zawsze najgłębszym szacunkiem, witała w swym domu z objawami najżywszej radości. Rozmiłowana w ubóstwie i umartwieniu, nie przyjmowała dla siebie żadnych wyjątków, ale serce jej macierzyńskie umiało odgadywać najdrobniejsze potrzeby Sióstr, zaspokajać je z dobrocią i wyrozumieniem. W ostatnich latach życia zapadając często na zdrowiu, przedsięwzięła jeszcze budowę nowego domu dla chorych; umiejętnie i praktycznie urządziła go według dzisiejszych wymagań lekarskich, a gdy już cały zakład przerobiony i odnowiony w najlepszym znajdował się stanie, nawiedził Pan Bóg Siostrę Wiktoryą chorobą, która miała doprowadzić ją do wieczności. Modły gorące wznosiły się codziennie przed tron Najwyższego o przydłużenie jej życia, lecz wszelkie usiłowania lekarzy o przywrócenie zdrowia ukochanej chorej okazały się daremne. Widocznie Bóg chciał piękną duszę tej wiernej Córki św. Wincentego oczyścić z najmniejszej skazy, zsyłając na nią cierpienia niezwykłe, połączone z dotkliwem uczuciem głodu i pragnienia, bo kilka tygodni przed śmiercią nawet płynu przełknąć nie mogła. Z poddaniem się woli Bożej i heroiczną cierpliwością znosząc te męczarnie, pocieszała zbolałe towarzyszki i dodawała im otuchy.

Po przyjęciu Sakramentów św. zajętą jeszcze była do ostatniej chwili zarządem domu, przygotując w cichości swą duszę na przyjście Boskiego Oblubieńca, stąd możemy ufać że gotową ją zastał na niebieskie gody, choć śmierć nagła przecięła pasmo ziemskiego życia, tej dobrej Siostry Miłosierdzia, 19-go grudnia 1905 r. w samą rocznicę jej przyjścia na świat i chrztu św.

Znaczny udział w pogrzebie duchowieństwa, Sióstr z poblizkich domów, obywateli i ubogich, odczuwających głęboko stratę, jaką ponieśli przez śmierć, świadczył wymownie o czci i uznaniu, jakie sobie zjednać umiała.

R. i. p.

Ś. p. Ks. Maksymilian Brzezikowski

Dyrektor Sióstr Miłosierdzia Prowincyi Warszawskiej.

Dnia 4. kwietnia b. r. w środę tygodnia Męki Pańskiej, o godzinie 3. rano, zmarł w Warszawie na Tamce w własnem mieszkaniu, mieszczącem się przy Domu Centralnem Sióstr Miłosierdzia, ś. p. Ks. Maksymilian Jan Brzezikowski na atak serca. Dnia poprzedniego, jak zwykle codziennie, spełniał swe obowiązki bez zmiany, tylko okazywał pewne zmęczenie, gdy powrócił w południe od spowiedzi w kościele parafialnym św. Krzyża, gdzie stale spowiadał jako wikaryusz etatowy. Po kilkugodzinnym wypoczynku przy biurku na przygotowania się do uroczystości Kwietniej Niedzieli i Wielkiego Tygodnia, wieczorem widziano go już w dobrym humorze i rozmownego. Po pacierzach położył się jak zwykle około godz. 10-tej, zgasiwszy światło i chyba spał, bo dopiero na kwadrans przed 3-cią rano obudził dzwonkiem służbę, która zbiegła się na ratunek. Chory, już bez mowy, chwytał się tylko za piersi, a po kilku minutach oddał ducha Bogu.

Życiorys ś. p. Ks. Brzezikowskiego umieszczono b. r. w zeszycie styczniowym „Roczników“, dodam więc tylko, że cichy, skromny, pobożny ś. p. Ks. M. Brzezikowski był jakby

perłą w Zgromadzeniu i wzorem nam młodszym od siebie. Ubóstwo praktykował całe życie, zadowolony szczupłem uposażeniem, bo i tak dzielił się ostatnim groszem z biednymi, mawiając: „gdy mam czem posilić się i przyodziać, niczego więcej nie potrzebuję“. To też literalnie nic po nim nie zostało w dożywotniem mieszkaniu; znaleziono tylko 12 groszy na biurku i kilka intencyj mszalnych, jeszcze nie odprawionych. Był on jednym z tych członków Zgromadzenia, którzy po kasacie takowego, dnia 27 go listopada 1864. r., ogołoceni ze wszystkiego, opuścili Dom Zgromadzenia ledwo w tem, co na sobie mieli, jak to mogą poświadczyć i dziś jeszcze żyjący. Pogrzeb ś. p. Ks. M. Brzezikowski miał wspaniały. Na drugi dzień po śmierci w kaplicy Domu św. Kazimierza odśpiewali wigilie alumni Seminaryum św. Jana, również uroczystą Mszę św. na chórze celebrował Ks. Antoni Gucewicz. Nieboszczyk spoczywał na bardzo skromnym katafalku, podług zwyczaju praktykowanego u Ks. Ks. Misyonarzy. Z kaplicy św. Kazimierza do kościoła św. Krzyża eksportował zwłoki o godz. 4-tej po południu. Ks. Łukasz Janczak kapłan Zgrom. Misyi w asystencyi alumnów i wielu kapłanów. W kościele górnym św. Krzyża złożyli alumni zwłoki na wspaniałym katafalku, bo takie było życzenie J. Eksc. Ks. Biskupa Ruszkiewicza i kleru Św. Krzyskiego. Nazajutrz po odśpiewaniu wigilii przez alumnów, J. Eksc. odprawił uroczystą Mszę św. a po południu o godz. 3-ciej na cmentarz powązkowski eksportował Ks. prałat Teofil Jagodziński kolega seminaryjski nieboszczyka. Na eksporcie prócz alumnów, byli prałaci, kanonicy i kapłani, którzy niedawno byli uczestnikami uroczystości jubileuszowej ś. p. Ks. M. Brzezikowskiego. Wielotysięczny lud wierny, dzieci różnych Zakładów, liczne zebranie Sióstr Miłosierdzia i bractwa, tworzyły orszak pogrzebowy. Wielu płakało z żalu, że ostatniego Misyonarza wyprowadzają na wieczny spoczynek ci, którzy

pamiętają lepsze czasy. S. p. Ks. M. Brzezikowski za życia cieszył się wielką sympatyą u duchowieństwa; do jego skromnego mieszkania na Tamce zachodzili i dygnitarze kościelni i kapłani koledzy, znajomi i przyjaciele, by z nim porozmawiać i chwilkę u niego przepędzić, to też po śmierci zgromadziło się mnóstwo kapłanów na pogrzeb jego, by Mu oddać ostatnią posługę chrześcijańską.

Niech Bóg zapłaci niebem ś. p. Ks. M. Brzezikowskiemu, na które sobie zasłużył swem wzorowem, cnotliwem i pobożnem życiem.

Ks. Ł. Janczak.

ZMARLI:

Misyonarze:

Ks. Franciszek Cucchiarelli, 29. grudnia 1905 r. w Rzymie, żył lat 30, w Zgromadzeniu 14.

Ks. Piotr Venturini, 1. stycznia 1906 r., w Pernambuco, żył lat 56, w Zgromadzeniu 22.

Ks. Józef Wilfinger, Chiny, 2. stycznia, żył lat 32, w Zgromadzeniu 15.

Ks. Piotr Getten, 10. stycznia, w Algierze, żył lat 51, w Zgromadzeniu 27.

Br. Mikołaj Aubouer, w Paryżu, 14. stycznia, żył lat 82, w Zgromadzeniu 55.

Ks. August Marty, 20. stycznia, w Farafangana (Madagaskar), żył lat 29, w Zgromadzeniu 12.

Ks. Wilhelm Barnwell, 25. stycznia, w Perryville (Stany Zjednoczone), żył lat 44, w Zgromadzeniu 27.

Ks. Kazimierz Arnaiz, 6. lutego, w Andujar (Hiszpania), żył lat 26, w Zgromadzeniu 10.

Br. Jan Dahl, 21. lutego, w Paryżu, żył lat 69, w Zgromadzeniu 38.

Ks. Jerzy Réveillière, 22. lutego, w Paryżu, żył lat 73, w Zgromadzeniu 45.

Ks. Jan Marya Lacruche, w lutym, w Nan-Czang (Chiny), żył lat 35, w Zgromadzeniu 13.

Ks. Ludwik Salavert, w lutym, w Nan-Czang (Chiny), żył lat 29, w Zgromadzeniu 9.

Kler. Nemezyusz Mangana, 26. lutego, w Madrycie, żył lat 19, w Zgromadzeniu 3.

Ks. Józef Pujol, 1. marca, w Barcelonie, żył lat 28, w Zgromadzeniu 12.

Br. Jakób Toskano, 12. marca, w Mandovi, żył lat 73, w Zgromadzeniu 47.

Br. Filip Carrausse, 15. marca, w Dax (Francya), żył lat 65, w Zgromadzeniu 41.

R. I. P.

Kraków, drukarnia Związkowa, pod zarządem A. Szyjewskiego.